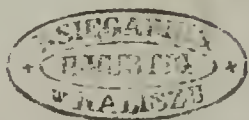


# RESZTKI ŻYCIA.





111484  
RESZTKI ŻYCIA.

POWIEŚĆ

PIKARZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

De que la vida servia?

*Tirso de Molina.*

*El burlador de Sevilla.*

(A. II. s. XIII)

TOM III.



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI MICHAŁA GLÜCKSBERGA,

przy ul. Krakowskie-Przedm. Nr. 9 (411)

w domu Wgo Grodzickiego.

1860.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

W Warszawie, d. 26 Września (8 Paździer.) 1859 r.  
Starszy Cenzor, F. M. Sobieszczański.

*Druk J. Ungu.*

## I.

**O**kolica Kaniowiec obfita w piękne przechadzki i dalekie widoki, pomimo uroku lasów sąsiednich i wybrzeży stawu który się daleko ponad miasteczkiem rozciągał, — wspaniałą ruiną pojezuickich murów najwięcej ku sobie nęciła. Tu zwykle w wieczory letnie i ranki wiosenne przychodzili pustelnicy z ulicy Dworkowej na samotne rozmyślania, czytać w chłodzie lub jedni drugich śledzić zdaleka. W piękne dnię ogród sąsiedni zawsze był pełen osób, a każdy miał ulubiony jakiś kątek, który szczególnie ukochał. — Przyczyniało się i to może do wyboru miej-

sca, że wzgórze pojezuickie najbliżej było miasteczka, a sucha prawie zawsze ścieżynka, wiodła ku niemu cieniem drzew osłonięta.

Po odjeździe pana Joachima w dworku Podkomorzanki pusto się jakoś i smutno zrobiło; nikt o oddalonym nie mówił, ale twarze pokazywały, że go im wszystkim brakło. Adela wprowadziła zajmowała się swoją uczennicą z zapałem i rokoszą, ale salonik w godziny wolne, smutny jakoś i bezludny się jej wydawał.

Podkomorzanka zamyślona siadywała nad swoją siatką której iglicę często po kwadransie trzymała w ręku nieruchoma, to znów gwałtownie poczyniała nierówne plątać oka. Zjawili się zaraz Szambelan i Referendarz, sądząc że pod niebytność wybranego, potrafią go zastąpić, ale zinną ich przyjęto.

Żelizo mniej teraz uczęszczał do dworku, a gospodyni postrzegła w nim wielką zmianę, onieśmienie jakieś, niepokój, twarz nawet

nie tak swobodnie opromienioną młodością jak dawniej. Na czole jasnem troska napiętnowała marszczki które życie miało ryć coraz głębiej. Wzrok nawet Adeli dawniej wszechmocny i rozgrzewający nie miał siły wywieść go z zadumy i pogrążenia.

Jednego z wieczorów po wyjeździe Wielicy, tak jakoś nudnie i długo płynęły godziny Podkomorzance, że się zebrała na przechadzkę później niż zwyczajnie, choć mrok już szary poczynął okrywać okolicę.

Oktaw, Adela i ciotka udali się milcząc znajomą nam uliczką znówu ku tym murom, gdzie najwygodniej im było patrzeć na dalekie błonia, godzinę spędzić w zamyśleniu i samotności. Nie wiem jak się to stało, że czatujący na te przechadzki sąsiedzi, niepostrzegli naszych par i nie pogonili za nimi, tak że Oktaw sam im towarzyszył.

Wszyscy byli milczący i pochmurni, rozmowa się nie kleiła wcale, a Podkomorzanka podrażniona nie wiedząc czem, niespokojna

w gorszym niż zwykle humorze, gniewała się sama na siebie za to usposobienie, którego nie mogła wytłumaczyć.

Powoli weszli na górę, a ścieżki wydeptane powiodły ich za klasztor i kościół ku zarosłemu drzewy ogrodowi i kapliczkom. Pusto już było w tej stronie i zdawała tylko głoś pastuszków powracających z łąk ciszę przerywał piosenką, nad doliną wypogodzone jaśniało niebo, a staw odbijał w sobie ciepłe blaski zachodu.

Adela przypatrywała się z zajęciem obrazowi okolicy i stawała ilekroć z między drzew ukazał się okolony gałęźmi piękny pejzaż Kaniowiecki, Żelizo szedł za niemi posępny, Podkomorzanka za myślona...

Na tylniej ścianie gmachu kościelnego wmurowanych jeszcze było kilka nagrobnych kamieni, aby się im przypatrzeć i wiersz jakiś o którym Żelizo wspominał odczytać, zbliżyli się razem ku ruinie, do której podziemiów wiodły tu właśnie drzwi dawniej zapewne



obwarowane, dziś stojące otworem. Wnijscie to zasypane stosem obwalonych cegieł, zarośłe chwastami, korytarzem ciasnym spuszczała się w lochy grobowe... Właśnie po nadniem i zboków były owe płyty kamienne których napis wskazał Żelizo; na jednej z nich serce matki wypisało żal swój po dziecięciu takimi słowy gorzkimi i pełnemi tęsknoty, że czytającym łzy zakręciły się w oczach.

Stali powtarzając po cichu ów wiersz natchniony boleścią, gdy nagle z czarnej owęj jamy wiodącej do podziemia, którędy ledwie ciasne zostawało przejście, dał się słyszeć szelest i w tejże prawie chwili przez otwór ciasny ukazała się postać blada okurzonego, z rozczochranem włosem nieznajomego z ulicy Dworkowej.

Z obu stron spotkanie to było tak niespodziane, że Adela i Żelizo nawet z krzykiem się cofnęli jakby ujrzeli upiora, a nieznajomy wstrząsł się cały na widok jakby tam umyślnie dla śledzenia go postawionych świadków.

W pierwszej chwili chciał nawet cofnąć się szybko żeby poznanym nie być, ale oczy jego padły na osłupiałą Podkomorzankę, i wzrok obojgu spotkał się, zatrzymał, długiem wejrzeniem badając wzajemnie. W rysach twarzy kobiety malowało się niepojęte zdumienie, przestach i rozczerzenie, na twarzy mężczyzny zrazu gniew, potem uczucie jakiegoś niewyczytane, wpółszyderskie, półprzejęte — ale z obu twarzy łatwo było poznać, że nie samo niespodziane zjawisko gościa z podziemiów, nabawiło strachem i przerażeniem; ani schwytanie go na tajemniczój grobowej przechadzce...

Podkomorzanka stała nieruchoma ze wzrokiem wlepionym w twarz nieznajomego, drżąca, z usty jakby do krzyku otwartemi, Poronicki nie spuszczał z niej oka, skamieniały i zbladły. Adela po dziecinnemu się wylekła, chciała uciekać ale widząc ciotkę odrętwiała nie śmiała jęć porzucić, Żelizo rzucił się także na ratunek Podkomorzanki, która powoli przechodząc z tego stanu dziwnego osłupie-

nia, krzyknęła, pośloniła się i omdlała. — W chwili kiedy się ku niej, by ją ratować rzucono, postać nieznajomego znikła im z oczów nagle. — Żelizo pobiegł po wodę do sadzawki, Adela odeszła już ze strachu, przyklękła przy ciotce usiłując do zmysłów przywieść rozcieraniem i wołaniem. Ale Podkomorzanka tak była silnie zemdlona, że ledwie chłodną wodą potrafili się jój dotrzeźwić nierychło.

Nareszcie otworzyła oczy powoli, ale zaczęła się śmiać serdecznym śmiechem boleści, który przeraził równie Adele jak Żelizę, nieumiejących poradzić sobie, a wzrok jój wlepiony w jedno miejsce świadczył o nieprzytomności. Nie wiedzieliby może co począć, gdyż Żelizo obawiał się odejść i Adele samą porzucić przy chorój, gdyby na głos przerażającego śmiechu tego nie zjawiała się nagle Andzia, której głowa po kazała się z za krzaków naprzód, a w tejże chwili sama dziewczyna przypadła na ratunek Podkomorzanki.

— Co to jest? — zawołała żywo, — przstraszyła się pani czegoś?...

I nie czekając odpowiedzi poczęła zdjąć z szyi chusteczką silnie rękę przewiązywać.

Śmiech ustawał powoli i łzy potoczyły się po twarzy Podkomorzanki, milczące, obfite, oko oprzytomniało, słaby głos począł niewyraźnemi słowy się odzywać.

Andzia ze zręcznością ludzi przywykłych radzić sobie samym w każdym przypadku, powoli podniosła jej głowę, posadziła i palcem na ustach położonym zaleciła Adeli milczenie. Wszyscy przełękli skupili się dokoła czekając końca téj kryzys, która ich przerażała swą gwałtownością.

Usta Podkomorzanki wciąż jeszcze niezrozumiale szeptały:

— On! on!

— To nasz sąsiad z Dworkowej ulicy, — odezwał się wreszcie Żelizo, — ów nieznamy o którym pani słyszałaś.

— On się tu nieustannie włóczy! — dodała Andzia.

— To on! — powtarzała obłąkanym wodząc wzrokiem Podkomorzanka.

— Wszyscyśmy się przestraszyli — szepotała Adela prawie rozpłakana tem ciotki położeniem, ale nigdy się nie spodziewała żeby ciocia tak okropnie przerazić się mogła... Co za nieszczęśliwy przypadek...

Znajomy głos Adeli, krzatanie się Andzi która żywo zajmowała się chorą, wywiodły ją наконец z tego przykrego stanu nieprzytomności.

— Chodźmy do domu — odezwała się cichym głosem.

Ale powstawszy z ziemi na którą upadła, tak się uczuła złamaną i bezsilną, że z jednej strony Oktaw z drugiej Adela ręce jęj podać musieli. Andzia poszła przodem wskazując im drogę już o mroku coraz gęstszym niepewną. Co chwila potrzeba się było zatrzymy-

wać dla wypoczynku tak silnie Podkomorzanka tem wstrząśnieniem nagłem dotkniętą została; brakło jej oddechu, jakieś obezwładnienie ją ogarnęło, a na mnogie pytania towarzyszących, ledwie się słowem niewyraźnem odzywała, niekiedy jeszcze cicho do siebie powtarzając: — To on!

Dla tych co znali ciocię wesołą, panią siebie, przytomną zawsze i nieulegającą nigdy wrażeniom strachu, wypadek cały był niepojęty.

Wprawdzie zjawienie się nagłe téj postaci wychodzącej z grobów, wybladłej, dziwnej i do upiора podobnej, mogło bardzo przerazić, ale przestрах już był minąć powinien, a Podkomorzanka co chwila zdawała się słabsza i silniej jakimś wrażeniem wewnętrznem przejęta. Adela nie poznawała ciotki, Żelizo gubił się w domysłach.

Tak wszystko czworo dowlekli się powoli podtrzymując przestraszoną do uliczki Dworkowej, a tu Żelizo zostawiwszy ją w ręku ko-

biet, pobiegł po matkę na ratunek; gdy Andzia silnie ujawniła słabą, wraz z Adela przeprowadziła do domu.

Oktaw tłumaczył to sobie samym przestraszeniem, ale nigdy w życiu podobnego jeszcze nie widział, obawiając się więc o skutki pośpieszył do matki.

— Kochana matko! — zawołał wpadając wzruszony do dworku w którym właśnie odbywała się wieczorna modlitwa, — Podkomorzanka zachorowała nagle!...

Stary Żelizo na głos syna w którego dźwięku poczuł wzruszenie głębokie, przerwał pacierze.

— Co się stało, moje dziecko?

— Podkomorzanka z przestraszenia zachorowała, ledwieśmy ją osła błą do domu potrafili przeprowadzić, spieszcie na pomoc, bo tam głowy potracą.

— Jakże? z czego? — zawołała matka już wdziękając chustkę — co się stało?



— Poszliśmy na przechadzkę do murów jezuickich... znacie z tyłu kościoła napisy grobowe gdzie jest nagrobek dziecięcia. Staaliśmy i czytali, gdy ten dziki człowiek Poronicki niewiedząc z kąd zjawił się nagle u wejścia do lochów, i jak upior stanął przed nami. Podkomorzanka dostała mdłości, serdecznego śmiechu, i jeszcze do siebie przyjść nie może...

— Cóż on tam robił w lochach? — zapytał Żelizo.

— Bóg go wie, całe jego życie tajemnicą, a mówią że się tam nieustannie włóczy po tych zwaliskach.

— Biegnijże Jejmość, a ty Oktawie idź za matką i dawaj mi znać... Jużciż tak bardzo przełęknąć się nie mogła żeby ją to aż o chorobę przyprawiło! Ale coż tam robił ten człowiek!

I stary począł się modlić zaraz na intencją chorąg wracając po chwili do tego spokoju, który był stanem zwyczajnym jego duszy.



Żelizowa z synem wyszli spiesząc do dwor-  
ku. Mijali właśnie uliczkę wiodącą do ruin,  
gdy Oktaw uczuł się pociągnionym za rękę i  
o mało nie krzyknął znowu ujrzawszy Por-  
onieckiego który go wstrzymał gwałtownie.

Twarz nieznajomego była bledsza niż zwy-  
czajnie, oczy obląkane, usta drżące, a wyraz  
cały okazywał niepokój i dziką jakąś namię-  
tność wzburzoną.

— Co się z nią stało? — szepnął Okta-  
wowi.

— Przestraszona widokiem pańskim om-  
dlała, — rzekł młody człowiek — ledwieś-  
my się docucić jęj mogli... ale bo też potrze-  
ba wam było ukazać się tak nie w porę...

— Powiedz mi — któż to jest ta kobieta?  
gorąco począł Poroniecki.

— Panna Podkomorzanka!! przecież wi-  
dywać ją lub słyszeć choć o niej pan musia-  
łeś...

— Panna... powiadasz... a imie jój? — pytał nieznajomy natarczywie.

— Ludwika!

Poroniecki stał wrosły w ziemię, oczy mu się tylko iskrzyły.

— Tak! — rzekł do siebie uśmiechając się — fatalność... ukazałem się wychodzący z grobów... bom dawno umarły! — los jest logiczny zawsze.

— Ale cóżeś tam pan robił!

— Żywi z żywymi, umarli muszą z umarłymi przestawać, co dziwnego? Nie uważasz że ja upiorem jestem? Za karę tylko noszę zeszlę ciało i pogruchotane kości po świecie. Zresztą? — ale idź, — przerwał, dowiedz się co się z nią dzieje, i przyjdź mi oznajmić, jakęś... dobry, a raczej jakąś młody.

To mówiąc niepewnym krokiem Poroniecki skierował się ku swojemu domowi, a Żelizo za matką do Podkomorzanki.

---

## II.

**G**dy się ujrzała znów w swoim cichym saloniku, otoczona znanymi twarzami i ścianami biedna chora, powoli odeszła jęj zupełnie odrętwiałość i zesłabienie, rumieniec powrócił na twarz, oczy nabrały blasku i rozdrażnienie tylko jakieś po tem grobowem widzeniu pozostało.

Żelizowa z nalazła ją już uśmiechnioną łagodnie i usiłującą uspokoić przytomnych, a Adela u nóg klęcząca, szczebiotała, starając się ciotkę rozweselić i cały wypadek w żart obrócić.

— Wszyscy tu znają tego dziwaka, — mówiła, — a Andzia kilka razy mi o nim wspominała...

— Bóg go tam wie co on robi, alem ja go nie sto razy spotykała u jezuitów, — dodała dziewczyna. — I mnie on nastraszył nie raz wychodząc nagle z jakiejś kryjówki, bo się nie boi w najciaśniejsze wciskać kąty... ale tomusi być chyba czarownik jaki lub szalony... bo cóżby on tam raz wraz robił? W miasteczku od czasu jak tu przybył z nikim się nie poznał, a Szambelana co go śledził, oduczył od tego podobno dosyć niegrzecznie... chodzi sam, nie żyje z nikim. Raz tylko, i Andzia się zarumieniła trochę, — podobno zaczepił Żelizę... gadali z sobą z pół godziny.

— A gdzież Oktaw! — spytała Podkomorzanka, — niechbym mu podziękowała za jego staranie.

— Mój syn — odpowiedziała staruszka — musi być w ganku, czeka tam na mnie.

— Poproścież go tu, poproście, — żywiój odezwała się chora.

Andzia wybiegła po Oktawa pierwsza, korzystając z chwili téj aby się zbliżyć do niego, a gdy młody chłopak wszedł do saloniku, smutna przypadła na ławce w ganku zajmując jego miejsce.

— Przepraszam cię kochany Oktawie, — obracając się ku niemu przemówiła Podkomorzanka — nastraszyłam cię bardzo? nieprawdaż, ale to już przeszło! Tak pocziwie krzątałeś się koło mnie, pozwól sobie podziękować.

— Gdyby nie Andzia którą tam Pan Bóg nam zesłał, nie bardzobyśmy sobie dać radę potrafili, — rzekła uśmiechając się Adela, — pan Oktaw ma tylko tę zasługę wraz ze mną, że się okrutnie ciocinego strachu przeląkł.

— Ty słyszysz znasz tego upiora? — zapytała Podkomorzanka.

— Ja?

— Andzia mi mówiła żeś raz z nim rozmawiał dosyć długo...

— A tak! — przebaknął Żelizo pomieszany nieco przypomnieniem okoliczności w jakich się to trafiło — w tych samych ruinach zachwycony burzą zetknąłem się z nim i miałem to szczęście że sam mnie zaczepił...

— A o czymżeście mówili?

— O ludziach, świecie... znać w nim zbolełego i zmęczonego życiem człowieka, niewiele przecie nauczyć się mogłem..... Dziwak i nieszczęśliwy...

— Prawda, — zawołała śmiejąc się już Adela, która od kolan ciotki nie odstępowała, — że doskonale się dobrał do miejsca i wypadku z tą swoją twarzą bladą, oczyma zbłąkanymi, włosiem rozczochranym... i okropną fizjognomią.

— Moje dziecię; — cicho dodała Podkomorzanka całując ją w czoło — nie śmiej się nigdy z bladej twarzy i obłąkanych oczów,

są to piętna żywota i boleści, które poszano-  
wać potrzeba. Któż wie ile razy zblednąć  
musiał cierpieniem ten, komu na wieki krew  
do serca uciekła? ile razy płakały te oczy  
które dziś już bez łzy suche i straszne są o-  
błąkaniem?

— Żal mi go serdecznie, ale po cóż tak  
straszny, — mówiła Adela, — i chodzi po ja-  
mach żeby ludzi przerażać swoim zjawie-  
niem? Nie mogę tego sobie inaczej jak sza-  
leństwem wytłumaczyć.

— Dlaczegoż szaleństwem? — zawołała  
dosyć żywo Podkomorzanka — są tak dłu-  
gie godziny w pustych i niezajętych niczem  
resztkach życia pod starość, że się dziwować  
nie godzi, jeśli fantazja zaprowadzi kogo na  
mogiły... do grobu, w gruzowiska i ruiny!...  
kto wie co może powiedzieć podniesionemu  
duchem milcząca czaszka i proch znikłych lu-  
dzi... Biedny zaprawdę kto w śmierci musi  
szukać pokarmu, ale nie zawsze obłąkany i  
szalony.

— Ciocia tak dobra że go jeszcze tłumaczy, — odezwała się Adela, — bo co ja to mu téj chwili trwogi nie daruję! Byłyśmy w strachu śmiertelnym i gdyby nie pocziwa moja Andzia... Ale gdzież się już ten trzpiot podział? zapytała wodząc oczyma — przecież mnie choć dziś nie powinna opuścić?...

— Nie obawiajcie się panieneczko, — zza drzwi ukazując się — przerwała Andzia, — jeżeli wam na co potrzebna, to mnie macie póki chcecie...

Położmy panią żeby sobie odpoczęła, a same nad nią siedzieć będziemy i bajki prawić choćby do białego dnia...

To mówiąc uśmiechnęła się i przystąpiła do Adeli, która ją pogłaskała po twarzy.

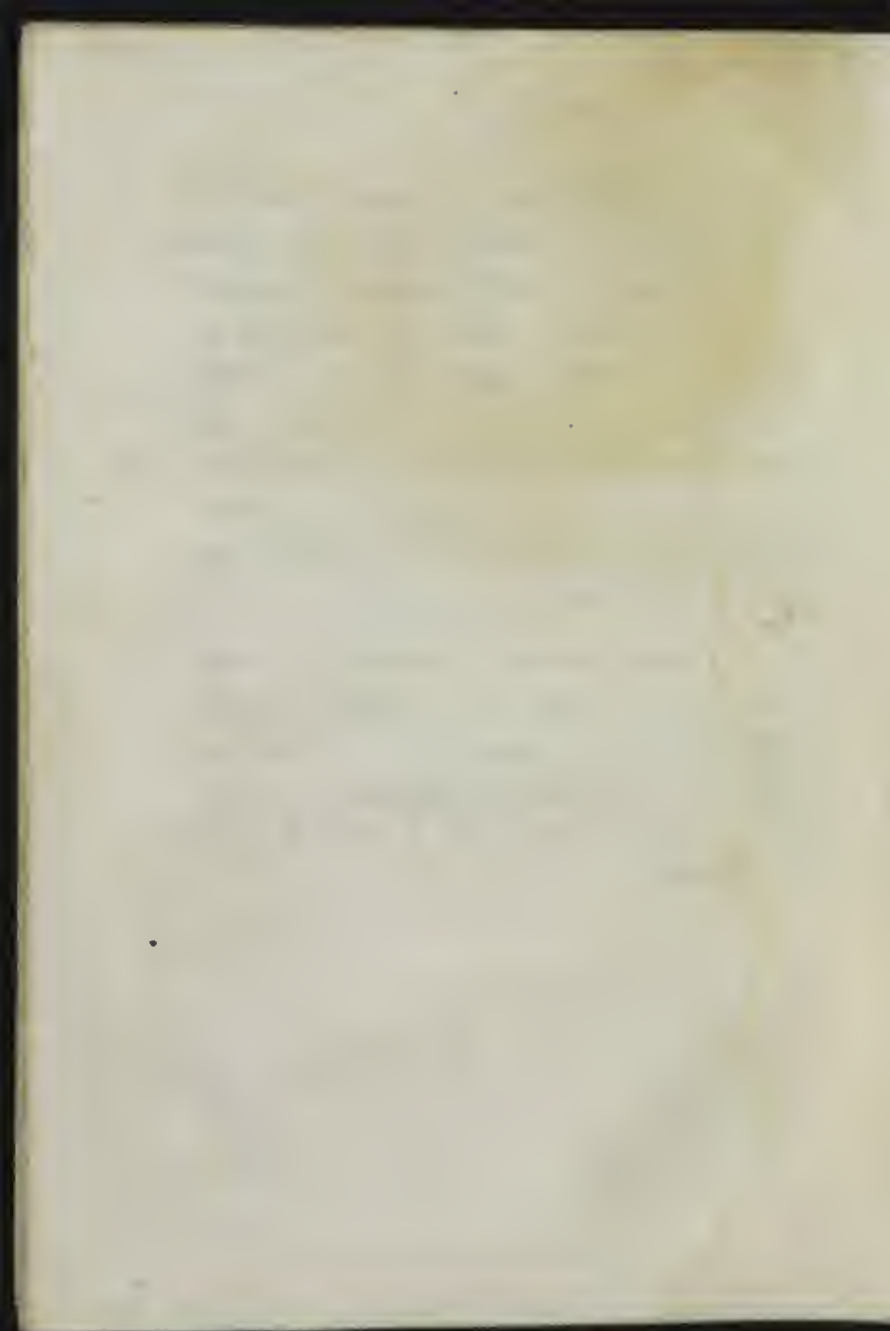
— Dobrze, dobrze, — odpowiedziała Podkomorzanka, — każecie mi leżyc położę się, ale niechże pocziwa Żelizowa powraca do domu i naszego starego uspokoi, że mi się nic nie stało. Dobranoc wam..... bądźcie o mnie



spokojni... Nic się staremu gratowi jak ja nie stanie, twarde to i zaschłe! jakby tak której z was młodszych możeby ciężko przestraszyć odchorowała, ale ja jużem nie jednego w życiu doznała, nie je dno silniejsze od tego wzruszenie, dłuższa boleść biły o tę wątłą budowę którą Bóg k ruchą uczynił, aby świadczyła o Jego sile... Przejdzie i to jak przeszło wiele innych w życiu przygód, utrapień i wzruszeń, jak przechodzi życie samo.

To rzekłszy uścisnęła Podkomorzanka Żelizową, uśmiechnęła się do Oktawa i biorąc rękę Adeli powoli posunęła się do swego pokoju, ale pogrążona w zadumaniu i widocznie jeszcze nie rozbudzona z wrażenia jakiego doznała.

---



### III.

**O**ktaw długiem wejrzeniem pogonił za odchodzącemi, a wzrok jego spotkał oczy Anny zwrócone nań z wyrazem uczucia które się nieopatrznie zdradzało i wejrzenie spokojne, łagodne, ale niemniej przejmujące pięknej Adeli, które go badać się zdawało.

Wyszedł rozmarzony dziwnie temi dwoma promieniami które świeciły w duszy jego jak dwa słońca na jednym niebie, równego blasku, równej siły, choć barwy odmiennej.

— Która z nich? — pytał sam siebie i odpowiedzieć nie umiał. — Godziż się je poró-

wnać, a jednak urok prostego dziewczęcia jest li mniej potężny od czystej aureoli tego niebiańskiego zjawiska? Jedna i druga piękne jak anioły... ale ta będzie mnie kochać kiedy jak Anna, a może co miłość zastąpić? Do tej zniżyć się muszę, tamta podniosłaby mnie do siebie... ku Adeli lecę wyobraźnią, technicem poezji, ku tamtej ciągnie namiętność, wspomnienia, szal jakiś nieprzezwyyczajony! przy jednej z nich zapominam o drugiej, gdy obu nie widzę, obraz ich w jedną całość się łączy! A! to coś niepojętego! Miał słusność ten człowiek, potrzeba uciekać!

Przypomnienie Poronieckiego który czekał wiadomości o zdrowiu Podkomorzanki, zmusiło Oktawa odprowadziwszy matkę, zwrócić się nazad ku jego mieszkaniu. Uliczka którą przechodził jeszcze była ożywiona wieczornym ruchem przechadzających.

Już się tu była wieść rozeszła o wypadku Podkomorzanki, a że nikt z sąsiadów nie był przy nim i wzmiankę tylko jakąś z ust czyichś

pochwycono, łatwo sobie wyobrazić jak przekształconą i powiększoną została.

Złapano zaraz Oktawa obrzucając zapytaniem, jak to było? czy prawda że Poroniecki ukazał się im nagle z trupa głową w ręku i pochodnią, okryty białym prześcieradłem, sztylet trzymając w zębach... że Podkomorzankę chciał zabić! i t. d. i t. d.

Usłużny Szambelan pomimo szacunku jaki teraz okazywał dla nieznajomego, już chciał biedz wzywać pomocy urzędu i załogi prosić, a kobiety truchlały...

Opowiadanie Oktawa który cały wypadek jak był opisał, i odarł go nielitościwie z przyczynionych dodatków, jakkolwiek nieco uspokoiło, wydało się jednak mniej od bajki prawdopodobnem.

Wszyscy wzruszali ramionami domyślając się że chłopak coś ukrywa i nie dopowiada, a Szambelan szeptał że się zawsze sąsiada jakby przecuciem obawiał i mocno go miał w podejrzeniu.

Pożegnawszy pannę Petronellę, Referend a-  
rza i wylękłego Szambelana który nie przesta-  
wał dowodzić, że nieznajomy wypadł ze szty-  
letem.

Oktaw pod pozorem przechadzki, przesu-  
nął się nie chcąc być widzianym przez cieka-  
wych sąsiadów ku domkowi Poronieckiego.

Świeciło się tu w jednym oknie i furtka od  
ogródka była otwarta, jakby kogoś oczeki-  
wano; wszedł więc, a słysząc z sieni żywy  
chód w sąsiedniej izbie, ku niej się zaraz o-  
brócił.

Tu zastał Poronieckiego, który wielkimi  
kroki latał, długie swe włosy zarzucając na  
tył głowy i oburącz trzymając się za czoło.  
Postrzegłszy wchodzącego nieznajomy stanął  
i zapytał:

— Jakże się ma? zdrowsza?

— Lepiej, lepiej, ale jednak wzruszenie to  
mocno się jój czuć dało. Oddawna ją znam,  
zawsze silną i niełatwo ulegającą podobnym

wstrząśnieniom... musiała się jednak niezmiernie przerazić!

— Czegóż? człowieka który się jój nagle ukazał! dzieciństwo!

— Nie pojmuję i ja...

— Możesz mi co powiedzieć o Podkomorzance? o tój kobiecie? — spytał poprzestanku Poroniecki, — ten wypadek zajmuje innie i radabym wiedzieć kto ona?

— Zdaje mi się żem już to panu mówił — rzekł Oktaw. — Jest to córka możnego niegdyś obywatela... dziś oddawna pani swój woli, niezamężna, majątna, osiadła u nas w miasteczku gdzie wiele czyni dobrego.

— A to dziewczę co z nią było?

— Panna Adela, jój kuzynka, siostrzanka, która wprzód wychowywała się przy babce... sierota równie... po śmierci swój opiekunki wzięta przez Podkomorzanę.

Poroniecki zdawał się myśli zbierać.

— Rodzice Podkomorzanki pomarli więc?

— Oddawna, kilkanaście lat temu.

Milczeli oba.

— Siadaj, chodź, rób co ci się podoba, — rzekł po chwili gospodarz chwytając się za głowę — nie umiem gości przyjmować bom ich rzadko miewał u siebie; alem ci rad żeś mnie odwiedził. Ja także, — dodał, — czuję się nie dobrze, ten krzyk kobiecy przejął jak-koś... nie swój jestem,.. drzę i czuję gorąco na przemiany... Głupie życie — rozśmiał się w końcu, — siwe włosy nie nie znaczą i nie dają rozumu!! dzieć ko się w starcu jeszcze odzywa!

Wstrząsał się tak i widocznie okazywał pomieszany i chory, że Oktaw chociaż mu pilno było do domu, nie chciał go opuścić.

— Ale pan także nie dobrze jesteś, — rzekł; coś na to poradzićby trzeba. położyć się, napić, spocząć!



— To wszystko dobre dla tych, którzy przywykli się pieścić, — odparł gospodarz z uśmiechem goryczy pełnym, ale dla ludzi od losu wyprobowanych ani rad, ani łóżka, ani medykamentów, ni spoczynku! Słyszałeś pewnie o tych biednych żołnierzach co na placu boju rzućeni z porozbijanemi łbami, po trzy dni i trzy nocy tracąc krew i nie mając czem ustodwilżyć, wyszli jednak z życiem samą siłą własną, bo nie wybiła ich godzina... Tak nie jeden raz było ze mną, znam się z po-bojowiskiem i chorobą. — Nic mi nie potrzeba — ludzkie rady i pieczyoty więcej ciężą niż wspomoga. Jeśli jest siła w głębi człowieka — wytrwa, jeśli zabraknie jój — zginie... No, to zginie... a nieużyteczną gębę jedną mniej na świecie.. cóż za szkoda?

— Każdy z nas przecie użytecznym być może!

— A! a! tak pochlebiamy sobie rzekł Poroniecki — jedni drugim niewieleśmy potrzebnii, a częściej zawodni, Panu Bogu także nie

bardzo służył na świecie, nam samym dosyć ciężko życie dźwigać, więc po cóż żyć?

Za młodu, wam, co innego śni się — ale gdy troska twarz kryje, przekwitną nadzieje i serce w piersi stwardnieje, wierzaj mi, śmierć jest dobrą rzeczą.

— Przyszedeś więc do tego! — zawołał Oktaw, — że możesz pan to szczerze powiedzieć!

— Nigdy nie kłamię, — odparł nieznajomy, bo to się też i na nic nie zdało — życia nie cenę boim go sprobował.

Na chwilę zamilkli oba. Oktaw poglądał na przechadzającego się Poronieckiego i śledził w jego twarzy uczuć, które się na niej wypiętnowały długimi powtarzając laty. — Dziwna też to była ruina ta twarz na której obok śladów piękności, wszystkie burze serca i zniszczenie namiętności, nędze żywota i cierpienia wycisnęły swe szpony. Reszta niedogasłego życia błyskała jeszcze w oczach

głęboko pod czaszkę wsunionych, a niekiedy iskrzących ogniem, który stare ich płomienie przypominał.

— A! i ja... i ja byłem w Arkadii! — odezwał się po chwili wciąż chodząc i ruchem gwałtownym ciała usiłując zburzenie wewnętrzne opanować gospodarz — i jam był młody... i mnie uśmiechały się usta dziewcząt i ku mnie szły dłonie ich drżące i ja wierzyłem w wiekiistość uczucia. w nieśmiertelność szczęścia, w niezachwianą wierność serca, w cnotę i miłość ludzką.... ale to wszystko dziś poszło w gruz i rozsypkę...

Ty stoisz na progu tego gmachu o waspaniałych portykach z którego ja odczarowany wyszedłem... i nie powiem ci jak ten co za dwa złote miał zobaczyć dziwotwór, a widział jakąś klejonkę oszusta, żebyś szedł i patrzył z kolei, zwodzić cię nie chcę, powiadam, nie idź i nie płąć! — Wiem że słowa tu na nic, że wszyscy tą drogą przejść musimy, a żał mi cię serdecznie. W twojej mło-

dości ja widzę moją własną i dlatego jak od innych nie uciekam od ciebie..... radbym napisać oczy widokiem tego w co już nie wierzę, a co kocham jeszcze jak pijak któremu wódka spaliła wnętrzności, a jednak drży gdy ją zobaczy.

Tyś jeszcze szczęśliwy, pudełko Pandory masz w piersi całe i nienaruszo ne... nadzieje wszystkie, wiarę wielką... śmieje ci się co mnie goryczą napełnia...

I stanął naprzeciw Oktawa założywszy ręce na piersi z uśmiechem politowania.

— Hej! hej! — rzekł, — gdyby mi twoich lat dwadzieścia przy mojem doświadczeniu! Któż wie! na nicby się i to może nie przydało, razem to nie cchodzi, gorączka dwudziestoletnia pożarłaby nawet wspomnienia bólów i cierpienia.

I niewiadomo z kąd i jak łzy nagle polały się po twarzy nieznajomego, a on ich nawet ocierać nie myślał, pobiegły strumieniem po

marszczkach twarzy wyżłobionych dawnym płaczem...

— Prawda że tu zimno, ubogo i smutno — dodał zwracając rozmowę — źle ci?

— Nie, — odparł Oktaw, — jam nie przywykł do pieśczoć, nie zważajcie na mnie, ale wam?

— Mnie wszędzie i zawsze chłodno! muszę latać aby się rozgrzać nieco... słońce albo pali lub niegrzeje wcale... powietrze ostudzone... żyć trudno... nawet ciałem walczyć potrzeba aby wyżyć i przeciągnąć nędzę naszą... cóż duchem?

Któraż z nich dwóch kochasz tymczasem? dorzucił śmiejąc się i zwracając do Oktawa.

— Jakto? — zawołał młody chłopiec.

— No! bo Andzia ciebie kocha i kusi... a tamta? to śliczne, czyste dziecko... jakże ją zowiesz? Adela?

— Nie śmiałbym na nią podnieść oczów!

— Masz słuszość! doprawdy rozumniejszy jesteś niż sądziłem... w miłości szukamy serca; dlaczegoż ma być koniecznie oprawne w brylanty? Nigdy wyżej sięgać nie trzeba i na palce się spinać, bo wówczas lada szczutkiem cię kto wywróci.

Nieznajomy zdawał się w ciągłej gorączce która się co chwila wzmagała, głos jego coraz stawał się żywszy, silniejszy, oczy jaśniej pały, usta poruszały się prędkiej... ujął Oktawa za rękę.

— Mój młody przyjacielu, — rzekł — wzbudzasz we mnie jakieś uczucie, którego dawno nie doznawałem, czysty jeszcze jesteś i pocciwy. Widzę cię nad brzegiem przepaści... okrążonego niebezpieczeństwem, chcesz li posłuchać dla twój nauki a dla ulgi mojej, spowiedzi z życia biednego człowieka? Dawno, o dawno nie spowiadałem się już ni przed xiędzem, ni przed kimkolwiek... ciężą mi grzechy i boleści... będziesz li miał cierpliwość posłuchać długiej powieści?

— Byleś mnie godnym zaufania osądził!

— Ja młodości ufam, bo w niej są siły Boże... później człek sobie obcina te skrzydła, by chodzić o kulach...

Wysłuchawszy dziejów, lepiej zrozumiesz dziwaka który ci się wydał zrazu pół obłąkanym, lub jednym z tych fanfaronów cierpienia, co rany swe produkują prosząc o jałmużnę litości... Jestem tem czem mnie życie uczyniło... jak Bóg stworzył, a nie kłamię nic... i litości zresztą więcej się obawiam niż pragnę. Litość jest doskonałą dla tych co ją dają, ale co ona tym którzy ją przyjmować muszą? ciepłą wodą... bez woni i smaku!

Słuchaj więc i ucz się, młody przyjacielu... bo to dzieje prawdziwe.

---





#### IV.

**U**rodziłem się pod dachem ubogiego szlacheckiego dworku, który zła dola częścięj nawiedzała niż spokój i dostatek. Powoli z majętności, znaczenia, stosunków, został zagon ziemi lichy, imię które ledwie podpisać umiano, i dokoła świat obcy i zimny. — Dziad mój mnie wychował, napół ze mną dzieląc się chlebem spleśniałym swój nędzy. Pamiętam go starym zgrzybiałym, zaciętym napół, ośleplym od łez w chatce naszej pustej, zimnej i milczącej; wołającego do Boga o opiekę dla sieroty, której losu zapewnić nie mógł. Na tym zagonie i dachu które jeszcze

ndo nas ależały, tyle było długów, że i ztąd co chwila nas wygnać miano... wypraszał się starzec swoim wiekiem i ślepotą. — Jam go w ostatnie czasy wodził i był jego oczyma gdy sam jeszcze dobrze patrzeć nie umiałem.

Niegdyś był to wojak i żołnierz odważny, posiekany cały, blizen więcej miał niż włosów na wypełzłej głowie; kiedy nam chleba brakło, karmił mnie piersią starych czasów. Ale codzien gorzej nam było w zimnej chacie już nie naszej, nareszcie jednego pamiętnego dnia, zjechało dużo ludzi, wrzawa się stała ogromna i ja z dziadem znalazłem się bez przytułku.

Wprawdzie nowy dziedzic ofiarował mu komorę w pustej chacie sąsiedniej, ale stary żołnierz wzięwszy kij w ręce, drżący cały nie chciał być na łasce ludzi co go na starość wygnali z jedyne go schronienia.

Pamiętam łzy moje gdy przyszło opuszczać dworek nasz i surowe wyrazy starego i

pierwszy dzień słotnej jesieni któryśmy przepędzili wlokąc się po błocie bez celu i kierunku.

— Idźmy! idźmy! — mówił dziad przyspieszając kroku, — jak najdalej od téj przeklętej ziemi gdzie siwych nie szanują włosów, gdzie pamięci ni serca nie mają, chodźmy do dzikich, na pustynię..... Tu powietrze zabijać musi bo trupy mieszkają. Ale przecież cały ród ludzki nie przegnił do szczętu, przecież gdzieś jest litość i Bóg i ludzie warci tego imienia? Mnie już nic nie potrzeba, mówił, — położyć się pod płotem i umrzeć, ale dziecko! nie byłoby komu dziecka powierzyć?

— Do pierwszych wrót kołataj, — powtarzał mi, — aleśmy nie rychło pod wieczór dwór jakiś napytali, dziadkazał mi się wieść wprost do izb, a tak był przejęty, że nie patrząc osób począł wołać od progu.

-- W imie Chrystusowe jeśli Chrystusa znacie? stary żołnierz i sierota... nie kawałka

chleba ale przytułku żebrzę dla dziecka. Jestli między wami litościwe serce? Ja nic dla siebie nie chcę, potrzebuję tylko umrzeć aby świata waszego nie nosić na piersi kamieniem... Kto z was przytuli sierotę?

Stary płakał i padał na kolana, mnie klękać kazał, ale nas zbyto groszem, a on jałmużnę rzucił im pod nogi.

— Daję wam dziecko, — wołał, — nie chcę pieniędzy ni chleba, toć to syn Boży bo ochrzczony, brat wasz w Chrystusie, dacież mu się zwać nikiemnie!!

Dziad wyglądał im na szalonego i przerażające jego wołanie ludzi tylko powystraszało; a gdy poczuł że od niego puciekali, starzec jał kląć okropnie.

Jeszcze dziś włosy powstają na głowie, gdy sobie przypomnę wyrazy jego...

— Bądźcie przekłeci wy co odrzucacie starość i sieroctwo od wrót waszych, bądźcie przekłeci wy i plemie wasze igroby i pamięć

wasza niech będzie przeklęta... Bogdajbyście dzieci zostawili sierotami na łasce obcych, bodajbyście służyli bydlętom, a próżno wołali zmiłowania Bożego..... Przeklętą niech będzie ziemia co was zrodziła, powietrze którem oddychacie, kraj co was wychodował... bogdajbyście sierotami konali na własnych progach, wy co zaparliście się brata i odepchnęli sierotę...

Starzec naprzemiany płakał, modlił się i wpadając w rozpacz znowu rozpoczynał rzucać klątwy. Noc spędziliśmy w lichéj gospodzie gdzie nam litościwa kobieta kawałek chleba i trochę słomy dała na posłanie, a do świtu dziad jęczał i rzucał się jak w chorobie, dopytując tylko ażali już dnieje.

— To być nie może, — wołał, — by cały już kraj skamieniał i ogłuchł, żeby im wszystkim serca wydarto z piersi trzeba iść; szukać, znajdzie się brat i człowiek, chybaby byli dziećmi szatana!

Ze dniem poszliśmy w dalszą wędrówkę,

ale nas wszędzie tak samo przyjmowano, jałmużną, chlebem, a sieroty nikt nie podjął się wziąć od starca i zbywano różnemi wymówkami.

Ku wieczorowi trzeciego dnia dziad co dotąd nadzwyczajną jakąś pchany siłą szedł, żem za nim ledwie mógł podążyć, choć wprzód ledwie miał mocy dosyć, by przez izbę się przewlec — upadł mi nagle przed wrotami domostwa które opuściliśmy właśnie.

— Dość tego, — zawołał — ludzi niema, czas umierać... i przycisnął mnie do serca z takim łkaniem rozpaczki którego dośmierci nie zapomnę. — Gdy będziesz głodny idź do psów, — rzekł, — nie do ludzi... idź między wilki prosić ochłapa... niema braci, niema ludzi!... Krzyże stoją, ale Chrystusa z nich zdjęli żeby na niego nie patrzeć, żeby go nie naśladować... Ziemia przeklęta... w bydło nas Bóg przemienił... umrzeć, umrzeć by nie patrzeć!

I tak wołając, miotał się biedny dziad mój

aż krwawa piana stanęła mu na ustach, oślepie wywróciły się źrenice i skonał z jękiem przeraźliwym w konwulsjach... za rękę mnie cisnąć tak, żem w skrzepłej dłoni pozostał przy trupie przestraszony i wpół ledwie żywy.

Że to było pod samemi dworu wrotami, zbiegli się zaraz ludzie, wrzawa stała się wielka, przestraszono się trupa i sądu, a nad ciałem jeszcze niezastygłem na żebraku, miotano przekleństwa że się tu umierać ośmielił.

Z tego wszystkiego pozostało mi tylko jedno głębokie wówczas wrażenie, że ludzie byli nieprzyjaciołmi moimi, że od nich uciekać i chronić się należało. I gdym tłumy ciekawych ujrzał gromadzące się dokoła trupa, wyrwałem dłoń z ręki starca zsiniałej i zimnej myśląc instynktowo o własnem bezpieczeństwie.

Miałem wówczas około dziesięciu lat gdym tak na szerokim rozdrożu pozostał samiuteńki jeden i własnym zostawiony siłom. Szczę-

ściem dla mnie, dziad opuszczając chatę naszą, porwał był papiery w których był ślad i dowody naszego pochodzenia i wcisnął mi je za nadrę, sądząc, że mnie gdzie potrafi umieścić, a polecając bym ich strzegł jak najpilniej. Miałem więc przynajmniej jakiś ślad kim byłem i jako włóczęga lub zbieg pochwycony być nie mogłem. Ale w pierwszej chwili tak byłem przerażony ostatnimi wypadkami, przekonany że jestem prześladowany i ścigany, że odbiegłszy trupa dziadowskiego, rzucałem się oślep drogą nie myśląc gdzie pójdę i co z sobą zrobię. — Pierwszą noc przebyłem w pustem polu pod gruszą, na deszczu od którego mnie tylko szmata przemokła już broniła. Jak na brzask wybrałem się dalej i od drzwi do drzwi żebrząc zziębły szedłem nie wiedząc dokąd idę. W myśli tylko miałem odejść jak najdalej, gdzieby o mnie i o dziadzie nie słyszano...

Trzeciego dnia ze strachem przebywszy ogromny bór dębów i sosen, znalazłem się w kraju zupełnie dla mnie obcym i od tego który opuściłem odmiennym.



Dzieciństwo moje upłynęło na szerokim stepie, wpośród którego gdzieniegdzie mały gaj zieleniał, a parowami płynęły srebrne rzeczułki i u brzegów ich tuliły się wioski; pierwszy raz w życiu widziałem niezmierne lasy stare i wydało mi się żem zaszedł na drugi koniec świata. Ziemia nawet pod stopami mojemu była inna, jaśniejsza, żółta, piaszczysta, a te olbrzymie wiekowe, dęby i sosny potężne, ze swym szumem poważnym przestraszały mnie i nęciły zarazem.

Po słońcach zaświeciło słońce, ociepliło się powietrze, strach powoli ominął, a żem był dzieckiem, począłem z ciekawością rozglądać się w tem co mnie otaczało. Byłbym może daleko większego strachu doznał w téj puszczy, gdyby nie to że wiodący przez nią gościniec był bardzo ludny i co chwila spotykałem to pieszych, to konnych, to wozy które w tę samą stronę co ja dążyły. Niektórzy z ludzi zapypywali mnie dokąd idę i dziwili się widocznie widząc dziecko tak opuszczone i sa-

me, chłopek jakiś wsadził mnie na wóz i podwiózł pół dnia, użaliwszy się nad bosemi nogami które pokaleczyłem do krwi nieprzywykły będąc do chodzenia.

Nareszcie tak trzeciego dnia gdy się las przerzedził i coraz częstsze na brzegu jego pokazywały karczemki; odsłoniła się równina wielka i wśród niej w dole nad rzeką pokazało się szeroko rozłożone miasto. Ja com nigdy nie widział nic prócz lichéj żydowskieję mieściny w której był nasz kościółek parafialny, dokąd zdziadem w pogodną porę chodziliśmy, stanąłem osłupiały, postrzegłszy niezmierną przestrzeń całą zabudowaną ścisniętymi domami, strzelające wyżej błyszczące wieże kościołów, i taką liczbę ogromnych budowli.

Strach mnie przejął myśląc co to tu ludzi być musi, i jak ja mały i biedny wśród nich dam sobie radę żeby nie zginąć i na nieprzyjaciół nie trafić. Śnili mi się już wrogi i prześladowcy! ot, jak rozpoczynałem życie!

Długo nieśmiałem ruszyć ku miastu i zbliżyć się do tego mrowiska z którego już zdała pomieszane głosy dzwonów, turkot po-  
wozów i gwar ludzi mnie dochodził; aż na-  
reszcie zmorzony głodem i zmęczeniem pcha-  
ny jakąś nadzieją, posunąłem się za dru-  
gimi.

Tu już wozów i wieśniaków, żołnierza i  
żydów coraz więcej było, a na pagórku za-  
sadzonym wśród skał resztkami sosen z wy-  
rąbanego lasu, napotkałem naprzód kilku mo-  
jego wieku dzieciaków ochoczo i wesoło ba-  
wiących się wpiłkę.

Śmiechy ich i wesele wstrzymały mnie, i  
stanąwszy z boku nieco, jałem się przyglą-  
dać zabawie której nigdy jeszcze nie kosz-  
tował.

Świat to był dla mnie nowy, bo oprócz  
wychudłych pastuszków wiejskich do których  
zbliżyć się nie miałem czasu, nie znał nigdy  
rówieśników, a wesołości i śmiechu nie wie-  
le się w życiu napatrzył. Działwa ta więc

pociągnęła mnie ku sobie i wlepiłem w nią oczy myśląc że oprócz nędzy jest jeszcze coś na świecie... że są sieroty któremi się ktoś opiekuje, i dzieci niegłodne.

Usiadłszy tak pod sosną na pagórku, spoglądałem to na miasto dziwując mu się, to na chłopaków blisko latających za piłką która niegdy aż ku mnie się zataczała, ale jej tknąć nie śmiał. A że mnie głód wielki morzył i chleba jeszcze oschłego miałem kawałek w szmatce, począłem gryść mój suchar przypatrując się dzieciom, których wesele i mnie orzeźwiać zaczęło.

Chłopcy nie spojrzeli nawet na mnie, tak zajęci zabawą i sobą, ale po chwili zbliżył się stary już mężczyzna w długiej ciemnej sukni, którego zrazu nie postrzegłem, bo stał pod drzewami na uboczu. Wziąłem go za nieprzyjaciela i chciałem uciekać, ale łagodna jakaś i spokojna twarz uspokoiła mnie wkrótce; on popatrzał na mój chleb suchy, na podartą i obłoconą odzież, na pokaleczone no-

gi którem był kawałkami od koszuli odszarpanymi poobwiązywał, i w końcu zapytał:

— Zkąd jesteś moje dziecko?

— Ja nie wiem, — odpowiedziałem — jestem sierota.

— Dokąd idziesz?

— Nie wiem, za jałmużną...

— Nie masz więc ani rodziców, ani nikogo?

— Nikogo, — odparłem, — obawiając się wspomnieć o dziadzie.

— Nie tutejszy jesteś?

— O! z daleka.

— A jakżeś się tu dostał?

— Jak widzicie, piechotą...

Jegomość ten począł mi się przypatrywać bacznie, łzy jakoś zakręciły mu się w oczach.

— Biedactwo, — rzekł, — któż byli twoi rodzice?

— Nie wiem...

— Ale jakże się zwało miejsce z kąd wyszedłeś?

Nieśmiałem mu powiedzieć.

— Czegóż się ty boisz? — szepnął mi z serca pochodzącym głosem ów jegomość — mów, mów, ja ci pomódz może potrafię... nie lękaj się...

— Boję się...

— Czego?

— Wszystkiego o się boję, — rzekłem, — i zacząłem płakać wspomniawszy dziada i wygnanie nasze...

Pogłaskał mnie po twarzy ów człowiek i uspokoił jakoś, bo głos jego miał siłę pociągającą dobroci, której skłamać nie można.

— Mów, — rzekł, — bo inaczej ja ci nie potrafię być pomocą, otwarcie i szczerze mi

gadał. Szczęście twoje, żeś nie dostawszy się do miasteczka trafił na mnie, tamby cię co złego istotnie spotkać mogło... ale mi powiedz szczerze coś zajeden z kąd i jak tu przyszedłeś.

Nie wiem jak, ale mimo przestachu ów człowiek takie we mnie wzbudził zaufanie, że po krótkiej chwili nietylko mu powiedział co o sobie wiedziałem, ale nawet ukryte papiery pokazał.

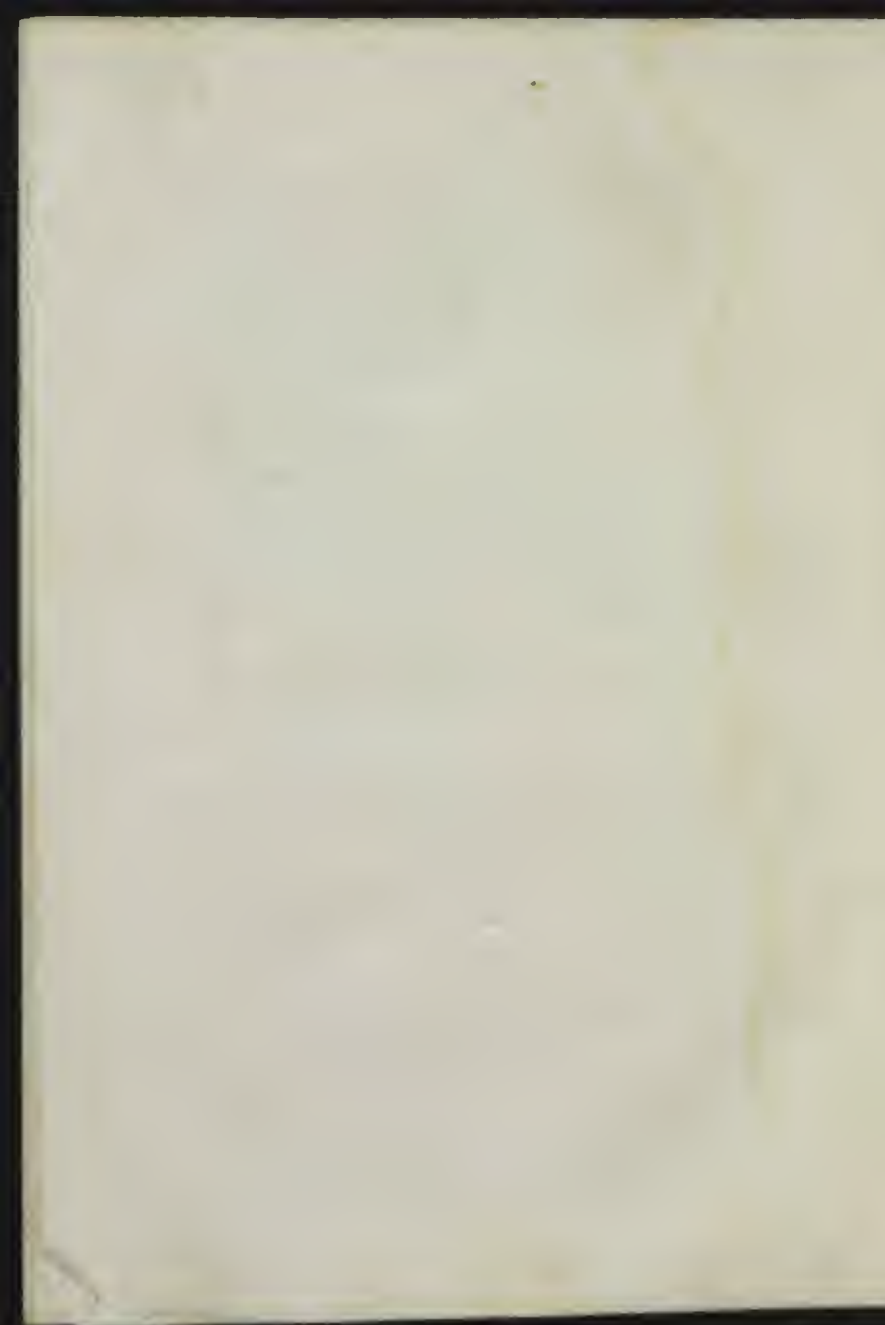
Dziwnie począł ramionami ruszać i mrużyć coś pod nosem, aż wreszcie rzekł mi:

— Jeśli nie chcesz zginąć, słuchaj mnie, nie obawiaj się niczego i idź ze mną... Sam jeden zginiesz i zwałasz się w miasteczku.. Ja może potrafię cię poratować... A potem odwróciwszy się do dzieci bawiących zawołał;

— No! moi panowie, pora do domu!

Dziatwa rzuciła się ku niemu, a ja za nią w ślad z tyłu się sobie powlokłem.

---





## V.

**T**akie było pierwsze moje ze światem spotkanie i mało komu pewnie na pierwsze danie los taki kęs przygotował. Zwykle miękko ludziom w kolebce, trochę słodczy jest choć na brzegu kielicha, mnie troskliwe przeznaczenie zwodzić nie chciało, i dziecku dało skosztować sieroctwa, nędzy i głodu.

Były to życia początki nie zwiastujące wcale uroczystych godów...

Za owym jegomością o którym wspomniałem z wielką powagą wiodącym za sobą całą gromadkę moich rówieśników, poszedłem

tedy i ja zdala, ostrożnie, uważając że pocciwe człeczysko często się oglądał czy też ja idę. — Chłopcy ciekawi wkrótce poczęli zbliżać się do mnie, ale młodszy szczególnie z figlami i żarcikami które nie oszczędzały nawet mojej widocznej nędzy i znękania. — Często tak w pierwszych latach rozpieszczonych zwłaszcza dzieciaki, zamiast instynktu litości, mają tylko zwierzęcy popęd do prześladowania słabszych — wina to pierwszych wrażeń i wychowania. — Krew nawet na szmatach które mi nogi były obwinięte śmiech ich pobudzała, trochę mnie to przstraszyło i myślałem się pozostać i ukryć, gdy przewodnik nasz dosłyszawszy zapewne co tam się poza nim działo, długą począł do żaków perorę.

— A gdyby który z was, — rzekł, — był w jego położeniu, miłoby wam było żeby z niego szydzono zamiast pomódz, i prze-drwiwano coby się miano litować? — a jesteście wy pewni że to jednego z was nie spotka? kto to wie? Jutro może najbogatszy

być na ulicy i bez chleba... Panu Bogu nie trudnego.

Chłopcy upamiętali się zaraz bo téż w téj ich napaści, więcéj było swawoli niż złéj woli, i jeden z nich nawet dobywszy z kieszeni jabłko obdarował mnie niem, za co, pamiętam, pocałowałem go w rękę, bo po suchym chlebie, zapach owocu świeżego zdał mi się cudownym... a tak byłem głodny, żem zaraz jeść począł chciwie.

Spuściwszy się z gliniastego pagórka, znaleźliśmy się u brzegu płytkiej, po ogromnych skał obłamach, płynącej rzeczułki, którą przebyliśmy po moście przy młynach, i ztąd weszliśmy już w ulicę która się pieła do góry dość sromo i przykro.


Nigdy w życiu takiej jak tu wrzawy nie słyszałem jeszcze i zrazu wylękły stanąłem nie śmiejąc postąpić daléj; ulicę całą zajmowały wozy z ciężkością drapiące się ku górze, ludzie, pędzone konie, i powracające bydło... Bruk miejscami powybijany po którym

chodzić nieumiałem, dotkliwie ranił nogi moje, a że gromadka z przewodnikiem dość pospieszała i mnie trudno ją było napędzić zdyszanemu, nie wiem jak, nie chcąc ich z oezów stracić, przelekkły tłumem, wpadłem między wozy i bydło.

Uczułem nagle silne uderzenie w bok prawy, krzyknąłem z bólu i padłem na ziemię, nie wiedząc co się ze mną stało... Oczy mi zasłoniło i straciłem przytomność.

---

## VI.

 Gdy przyszedł do siebie nieco, ujrzałem się leżącym z boku ulicy, na ziemi pod strzechą małego domku, otoczony wielkim tłumem żydostwa i gminu, a stary ów jegomość co mnie prowadził z sobą, krzątał się z chłopakami nademną. Mocny ból czułem w boku i na przebitéj odzieży krew się pokazywała, starano się mnie uspokoić, a cyrulik z bliskiej kamienicy opatrywał uderzenie które mi bydlę rogami zadało. Płakałem pociachu przestraszony, ale gdy rana nie okazała się niebezpieczną, sparty na ramieniu jednego z rówieśników moich, ostatkiem sił powló-

kłem się za niemi. Szliśmy długo ulicą pod górę ciągle co mnie zmęczyło niezmiernie, tak że gdy potem w prawo w ciaśniejszy zaułek ku mieszkaniu mego przewodnika iść jeszcze przyszło czas jakiś, kilka razy siadałem na ziemi, tak mi się w głowie zawracało i oddechu brakło.

W ostatku dowlokłem się do progu dworku drewnianego stojącego w dość obszernym dziedzińcu na ustroniu od miasta, a stary ów jegomość co mnie zabrał z sobą, pospieszył naprzód czegoś niespokojny. Gdyśmy za nim do ganku doszli, znaleźliśmy go rozmawiającego pokornie z jakąś tłustą jejmością która się zżywała i ruszała ramionami.

— No! to go odesłać do szpitala do panien miłosiernych, — mówiła, — co ja tu z nim robić będę? mało my to mamy biedy z tymi co niby to płacą, a jeszcze będziemy daremnych brać na głowę, czy to ja wielka pani. Na to jest szpital! Mało to sierot szlacheckich na świecie. Pan wiesz panie Słonkiewicz, —

dodawała, — wszystko teraz podrożało, za dwieście albo i trzysta złotych ciężko utrzymać, a nie bez tego żeby dyrektorowi nie trzeba było prezentu, prefektowi także... ot i wasanu... a wszystko to z kieszeni mojej która i tak i niebardzo wypchana.

Mruczała tak stara kobieta czegom ja wówczas niebardzo zrozumiał, ale obaczywszy mnie okrwawionego i bladego, ruszyła się pierwsza troskliwie na pomoc, łajac wszystkich i gderząc ze starego nałogu.

Byłato wdowa Kolikowa utrzymująca studentów wedle ówczesnego obyczaju, u której ów jegomość w długim surducie, co pierwszy się do mnie zbliżył, zostawał jako ko-repetytor... Nigdy nie zapomnę pocziwego owego Słonkiewicza jedną z istot najmniej pokąźnych, a najzacniejszych jakie poznałem na ziemi. Pan Teodor, gdyż zwano go pospolicięj tem imieniem, był synem ubogiego ekonoma i jak ja został sierotą od klasy czwartéj, musiał więc w szkołach jeszcze na chleb

zarabiać. Uczył się doskonale choć talentu nie miał wielkiego, ale za to serce złote. Dosić wysokiego wzrostu, z długą szyją i włosiem twardo najeżonym na głowie, twarz miał niepospolicie brzydką i o dziesięć lat starszą od siebie; a mimo to pełną takiego wyrazu spokoju i uczciwości, a dobroci że ku sobie pociągała każdego. Nie podobna go było nie kochać. — Z powodu ciężkich zapewne ruchów i powolnego obejścia, w szkole jeszcze przewano go wielorybem, a że pozostał w miejscu gdzie dokończył nauki, nazwisko to poszło z nim w świat i pospolicie studenci nawet inaczej go nie mianowali. Łagodny i powolny, pełen uszanowania dla starszych, nigdy nie narzekający na nic, nie wiedząc jak się pomieścić po ukończeniu szóstej klasy, został korepetytorem i biedny kawałek chleba zapracowywał w pocie czoła na kwaterze pani Kulikowej, która choć gderiała, narzekała, gniewała się na sługi i chłopców dzień cały, w gruncie była pocziwą i litościwą kobietą. Ciągnęła tylko bieda, walka, niepokój,



nauczyły ją nieustannie się skarżyć, kłać i od rana do wieczora jakieś sobie powody zmartwień wymyślać. Najczęściej były to rzeczy błache, gdyż w większych razach Kulikowa jak ów niedźwiedź w bajce, traciła mowę i pocichu tylko płakała.

W pierwszej tak chwili wylała Wieloryba za to że mnie przygarnął i s prowadził, hałasowała że jój kłopot przymnożył, odgrażała się że mnie do szpitala miłosiernych odeśle, ale obaczywszy położenie moje, zaraz ją się krzątać koło mnie. Znalazła i starą bieliznę i szmaty na obwinienie rany i kątek w alkierzu z łóżeczkiem dla mnie, a koniec końców zbureczała znowu Słonkiewicza, że tak nieostrożnie prowadził i na uderzenie bydlęcia naraził. Biedny Wiele ryb milczał z głową spuszczoną i uśmiechał się widząc że jejmość do serca wzięła położenie sieroty.

Ubodzy pierwsi mnie na świecie przygarnęli, nie było tam słów i obietnic, grzeczności i nadskakiwań, rozpadań się obłudnych

owszem trochę utyskiwania i gderstwa, ale zarazem pocziwy uczynek płacił za gorzkie słowo, a starania Kulikowój były prawdziwie macierzyńskie. Miała ona swoich dwóch chłopaków którzy chodzili do szkół, utrzymywała ich, siebie, małą córeczkę, z okruszyn studenckiego chleba, często w domu grosza brakło, jednak miłosiernie przygarnęła sierotę. Rana moja opatrzona zagoiła się prędko, choć ból w boku na całe życie pozostał, zwlokłem się z łóżka i już znalazłem że mi Kulikowa i Słonkiewicz obmyślili dalszą przyszłość.

Wdowa nie była w stanie wziąć na siebie ciężaru jednego więcej dziecięcia, ale gdy Wieloryb oświadczył się że ze swój pensyjki coś na rzecz mojego utrzymania ustąpi, oboje targując się i dumając jakby to uczynić aby szlacheckie dziecko nie zmarniało, znaleźli jakąś pocziwą duszę, a nazwiska nawet nie wiem kto to był, co na cel ten małą jakąś kwotę zaofiarował.

— Już za strawę nic nie wezmę, — mówiła Kulikowa, ono to się pożywi i przy moich chłopakach, ależ odziać potrzeba... a możeby go i do szkoły posyłać, to zaraz i książki i papier i odzież trzeba dać przystojniejszą, bo odartusa do klasy prefekt nie przyjmie.

— No, to już ja, to już ja obmyślę, — dodał Wieloryb.

I tak zostałem w tym kątku ubogim, zrazu pół posługaczem bo Kulikowa nikomu próżnować nie dawała, potem już uczniem szkoły. Wieloryb uczył mnie w wolnych godzinach trochę czytać i pisać, abym do pierwszej klasy mógł być przyjęty. Niełacno mi to szło, bo mi zapóźno musiał nakładać się do tego rodzaju pracy, ale Słonkiewicz dopilnowywał i nieustannie mi kładł w uszy że od tego przyszłość cała zależy.

Nie bardzom to ja rozumiał wówczas co ona znaczyła przecież na sobie mi wskazując przykład, trafił Wieloryb do mojego przekonania.

— Widzisz mój kochany, — mówił — i ja jak ty byłem sierotą bez kawałka chleba, odumarli mnie rodzice, a przecież ucząc się, ot do czego doszedłem...

W istocie położenie Wieloryba zdawało mi się wówczas jeśli nie szczytem szczęścia, to jednym z najwspanialszych na świecie. Nawet pani Kulikowa szanowała go i niekiedy była dlań grzeczną, do stołu siadał na pierwszym miejscu, miał władzę sądowniczą i wykonawczą, dwa surduty, buty zawsze całe, parasol czerwony, i izdebkę przy naszych osobną.

To pewna że on ani marzył ani zapragnął więcej, a przy maluczkich jego potrzebach i oszczędności, czasem nawet mógł kupić książkę pod kościołem, co dla niego najżywszą było rozkoszą. Mało mu czasu pozostawało na czytanie, ale godziny swobodne spędzał nad staremi szpargałami, które odarte kupiwszy sam oprowiał, kleił, numerował i oile wiem, doszedł był do siedmdziesięciu tomów

biblioteki, którą miał za wielce szacowną. Spoczywała ona w kuferku pod kluczem, zastrzeżona od wilgoci panującej w całym domu, cegłami na których skrzynka sparta była; a co kilka miesięcy Wieloryb suszył ją w swojej izdebce.

Rzadkiej to był skromności, cichości i dobroci człowiek, o ile go dziś sobie przypominam, milezący, potulny, nie umiał sobie dać rady ze swawolną młodzieżą, ale go tak kochali wszyscy, że najbardziej rozbrykani uspokajali się jednym jego zaklęciem: — jak mnie kochacie!

Postać miał niemiłą zrazu, nawet surową na oko, ale wpatrzywszy się w niego, pocziwłą duszę, cichą i świętą, czytać było można z wejrzenia czystego i skromnego. Najmniejszej w nim zazdrości, ani chęci wywyższenia, zawsze rad z wszystkiego, spokojny, przyjmował życie jak mu je Bóg zsyłał, w poko-  
rze dziękując za nie.

Kulikowa gderała na niego, ale go téż szanować umiała, truchlejąc nieustannie aby jéj kto téj perły nie napatrzył i nie odmówił ofiarując korzystniejsze warunki. Próżna to była obawa, gdyż Wieloryb tak był niepozorny, że niktby się nań nie skusił, nie poznawszy go bliżej.

W kilka miesięcy przy usilnej pracy Słonkiewicza i starszego syna Kulikowój który mnie pokochał i mną się opiekował, byłem jako tako przygotowany do szkoły, sprawiono mi bóty, surducinę, czapkę i Wieloryb wdziawszy odświeżne odzienie, poprowadził mnie do dyrektora.

Powziąłem już straszliwe wyobrażenie o tym potentacie na odgłos imienia którego, co tylko należało do szkoły, chowało się w mysze jamki, do którego Kulikowa przystępowała z adoracją i złożonemi rękami, którego Wieloryb bez czapki przez dziedziniec przeprowadzał schylając się przed nim do kolan, gdy więc iść przyszło osobiście się stawić

przed majestatem dyrektorskim, ledwie mnie bladego, wylękłego i trzęsącego się jak w febrze, wepchnął do pokoju pocziwy Słonkiewicz.

Dyrektor szkoły był maleńki człowieczyna gdzieś zdaleka przybyły, czupurny, czarniawy, żywy, trochę zezowaty, zresztą podobny do innych ludzi chodzących po ulicy. Może wskutek tego że taki był maleńki, chodził zawsze mocno wyprostowany, głowę do góry, poważnie bardzo, i głos sobie wyrobił dyrektorski, to jest dyktatorski. Widać było spojrzawszy nań że na tych barkach spoczywała troska o wychowanie przyszłych pokoleń, bo niepospolicie się puszył, nadymał i usiłował być wielkim człowiekiem. Order na szyi którego nigdy nie zdejmował nawet chodząc w szlafroku, czynił go jeszcze świetniejszym, a czub najeżony wzrostu mu dodawał.

Co robił, nie wiadomo, to pewna, że krzyczał wiele, machał rękami, i gdzie się poka-

zał, przestrasz paniczny rozsiewał. Udobru-  
 chać go jednak zdaniem Kulikowój która lu-  
 dzi znała, było łatwo. Tajemnicę tę znali i  
 sami klienci. Przynoszono mu na ofiarę po-  
 cząwszy od głów cukru aż do brzęczącej mo-  
 nety, od mąki do wazoników z kwiatami, a  
 jeśli on nie przyjął, żona pocichu przygar-  
 niała te datki do spiżarni. Były jednak fakta  
 w których dał dowód niezłomnego charakte-  
 ru i odmówił darów zbyt lichych lub w biały  
 dzień przyniesionych przy gościach. Straszne  
 te przykłady bezinteresowności trafiały się  
 najczęściej z tymi, którzy długo opierali się i  
 kurczyli, aż w ostatku prześladowaniem przy-  
 ciśnieni przynosili ofiarę na ołtarz zapóźno.  
 Dyrektor odrzucał ją z oburzeniem, zgrozą,  
 łajaniem, a niekiedy konfiskował na rzecz  
 szpitalów. — Mówiono o tem głośno, tak je-  
 dnak by na przyszłość od przyjacielskich da-  
 rów nie zrażać innych...

W ogóle ten naczelnik wychowania publi-  
 cznego, ubogich też rodziców i uczniów nie



lubił, przyjęcie do klass każdego charłaka szło z wielkim z jego strony oporem.

— Na co się im uczyć, — mawiał, — niech idą do rzemieślnika.

Szukano różnych pozorów aby nie przyjmować biednych, nawet w niedostatecznej odzieży, w braku książek, papierów udowadniających pochodzenie i t. p. Dla majątniejszych ułatwiano się wszystko cudownie i prawo tłumaczyło inaczej, — ubogich odpychano bez litości, niekiedy z szyderstwem. — Dla tych examen był publiczny, twardy, ostry i obwarowany jak najściślej, inni odbywali go osobno w mieszkaniu dyrektora lub przy obfitem śniadaniu wydanem przez rodziców. Wiedział i Wieloryb dobrze, że dyrektor był nieprzyjacielem oświaty dla ubogich i miał swoje po temu teorię, przeczuwał zatem jak ciężkie będzie przyjęcie moje do szkoły, ale w imię Chrystusowe poświęcał się na nieuchronną przykrość, która go tu spotkać miała.

Wepchnięto mnie tedy do wielkiej izby dosyć ciemnej, po której z długim cybuchem w ustach, przechadzał się ów mały ale ważny człowieczek, od którego nateraz przyszłość moja zależała. Wieloryb stanął równie pokornie jak ja u samych drzwi i począł od ukłonu pełnego namaszczenia.

— No! co to tam takiego? — żywo począł dyrektor.

— Jestto, proszę Jaśnie Wielmożnego pana — (tytuł ten wprawiał zawsze w dobry humor pana radzcę stanu) — jestto biedny sierota, dziecko szlacheckie, które Kulikowa przyjęła z litości, chcielibyśmy go oddać do szkół,

— Do szkół! a to poco! — odezwał się stając potentat — po co! wszyscy do szkół! do czego im ta nauka! Wszyscy do tych szkół się cisną! szkoły są dla majątnych dzieci szlachty! Ma rodziców?

— Sierota zupełny i bez żadnego funduszu.

— No! to oddajcie go do majstra... wiecie, klasy i tak zbyt liczne...

— Na jednego toby się tam jeszcze miejsce znalazło — pokornie prosząc rzekł Słonkiewicz i zbliżył się całując w łokcie dyrektora i dodając drugi raz Jaśnie Wielmożnego, a prosząc za mną abym mógł być przyjęty.

Pokora jego ujęła widać dygnitarza, który nadąwszy się mocniej, ale łagodniejąc dodał w sposobie kondolencji.

— Niepotrzebnie i wy i Kulikowa jakimś włóczęgą się obciążacie, a książki? a mappy? z kądem on to weźmie kiedy bez funduszu?

Popatrzał na mnie surowo, niepodobało mu się żem stał ręce założywszy na piersi i sam raczył mi je spuścić i pokazać jak się przed zwierzchnikiem stać powinno.

— No! no! — rzekł w końcu, niechże zda je examen, zobaczymy, a papiery ma?

Słonkiewicz jeszcze raz w łokieć go pocałował, a ja odetchnąłem gdyśmy wyszli z przybytku, do którego dopuszczony zostałem. — Pocziwy Wieloryb musiał potem ze mną obchodzić po kolei, prefekta i nauczycieli wszystkich polecając mi ich łasce i prosząc o lekki examen. Przyszła nareszcie chwila próby stanowcza, a skutkiem zabiegów Słonkiewicza, choć niebardzo byłem przygotowany, a przytomność mnie całkiem odbiegła gdy odpowiadać trzeba było, zostałem przyjęty do pierwszej klasy.

---

## VII.

**P**obyty mój w szkołach żywo jeszcze do dzisiaj pamiętam, a choć położenie stawiało mnie w dosyć przykrój zawisłości od ludzi, ubóstwo narażało na prześladowanie, bo ci co stali na czele wychowania, pierwsi dawali przykład niecnego poszanowania dla grosza, a nieposzanowania ubóstwa; — jednakże są to może najmilsze lata życia mojego. Nie myślałem o przyszłości, otaczający towarzysze byli życzliwi, lepiej mi było niż u dziada, i tu dopiero żyć począłem.

Byłem pod opieką Wieloryba który kochał we mnie moje sieroctwo i opuszczenie, i ży-

wo się zajmował moim losem. Kulikowa posługiwała się i gderała, ale także przywykły, niemal na równi ze swemi dziećmi mnie pielęgnowała, studenci widząc cichego i pokornego nie bardzo się znęcali nademną. W klasie wprawdzie siedziałem daleko i nikt się mną szczególnie nie zajmował, ale też nie prześladowano. Potrzebę nauki wpoił we mnie Słonkiewicz stawiać się nieustannie za przykład, i wziąłem się do pracy zrazu ciężkiej i nudnej z usilnością wielką. — Były dnie nudy i utrapienia, ale święta, ale przechadzki nasze nad brzegiem rzeki, gry, zabawy, wieczorne śpiewy i rozmowy — jakże dziś jeszcze uroczo się wydają!! Szczególną dla mnie woń mają dotąd jeszcze te wspomnienia lat pierwszych w szkołach spędzonych, z wydartemi łokciami i często dziurawemi butami.

Zrazu wypłacałem się Kulikowej myjąc talerze, czyszcząc odzienie współtowarzyszów i zastępując chłopca do usług, ale w trzeciej już klasie Słonkiewicz mój opiekun, uznał

mnie zdatnym do pomagania mu w korepetycjach i kazał próbować się z pierwszą klasą, której dozór mi powierzył.

Tak z dziecka prawie rozpocząłem zawód pedagoga i do czwartej doszedłszy staraniem pocziwego Wieloryba otrzymałem tak zwaną kondycję. Pierwsza była bardzo licha, rzucił bowiem okiem na mnie pan dyrektor i kazał przychodzić do swojego syna dla powtarzania z nim matematyki, za co, rozumie się, nie dawał nic prócz wysokiej protekcji swój i drogocennych uśmiechów kiedy był wesół...

Niedługo jednak wybyłem u niego, bom utrapionemu pieszczochowi piątej z rzędu konsolacji Jaśnie Wielmożnego, ochoty do nauki wpoić nie mógł i wybijaniu okien w klasach przez niego zapobiedz nie potrafił, usunięto mnie więc jako niezdatnego od zaszczytu karmienia regułą trzech ukochanego Benjamina pani dyrektorowej. Kulikowa zaś choć byłem jój przydatny, widząc że gdziein-

dzięć zarobić sobie coś potrafię, sama nastęczyła mi miejsce u równie ubogiej wdowy Pacewiczowej, która także kilkunastu utrzymywała studentów.

Gdy przyszło opuścić dom Kulikowej (bo do dyrektora od niej tylko chodziłem na godziny, utrzymywany będąc przez nią) — gdy rozstać się trzeba było z zacnym panem Teodorem i towarzyszymi, młode jeszcze wówczas serce mocno mi się ścisnęło. Byli to pierwsi ludzie na świecie z którymi dobrze mi było, do których się przywiązałem wdzięcznością i wspomnieniami, Kulikowa łając płakała przy rozstaniu, pan Teodor nieustannie mi kładł w uszy przepisy postępowania z doświadczenia czerpane, towarzysze żegnali nie bez smutku i łez.

Do tych izdebek niskich i ciemnych, do tego podwórka ocienionego dwójgiem lip starych równie jak do ludzi przyrosłem, był i choć nie dalej jak na drugą wynosiłem się ulicę, zdało mi się że w całkiem obcy świat i nowe wędruję kraje.



Życie wszakże niewiele się odmieniło, z tą różnicą że tu stanął na wyższym stopniu z podwładnego wychodząc na dozorcę; przybyło z władzą troski, odpowiedzialności i kłopotu, a mniej miałem czasu na własną naukę. Ale młodość ma siły niepojęte... spałem wówczas ledwie parę godzin w nocy pracując dla siebie, we dnie trzeba było pilnie swawolników dozierać, nieraz się zgryść, a w dodatku często nie dojeść, bo Pocewiczowa sama była uboga i ubogich tylko miała u siebie — a jednak wszystkiemu się jakoś podoływało.

Nowa gospodyni moja równie pocziwa jak Kulikowa, wcale innego była temperamentu, modliła się, zalewała łzami, a rady sobie dać nie mogła do zbytku będąc powolną i miękką. Studenci robili z nią co chcieli, profesorowie zmuszali do ciężkich ofiar, wszystko ją drożej niż innych kosztowało i na każdej rzeczy oszukana była. A że o-  
 chotnie jęj służył i zastępować się ją starał,

nie dziw żem się stał potrzebnym. Ale z czynniejszym życiem niemało przybyło utrapienia, bo nawet gospodarstwem domowem zajmować się musiałem, gdy i w tem Pocewiczowa rady sobie dać nie umiała. Tak przebiedowałem czwartą i piątą klasę nie zawsze w całych butach ale wesoło i bez troski o przyszłość która mi się już po przebytem łatwą wydawała.

W obu tych latach dostały mi się nagrody, chociaż nic za sobą nie miałem oprócz uśilnej pracy, a tu jak na świecie nie koniecznie praemia dostają się najgodniejszym. — Obok mnie wzięli je wprawdzie najgorsi uczniowie, których rodzice datkiem i przyjęciem ujęli nauczycieli i JW. dyrektora, ale dano i mnie ulegając konieczności. W piątęj klassie już, choć xiążkę mi przeznaczono, uważałem że dyrektor surowy był dla mnie i dawną stracił przychylność. Wiele do tego było powodów których ja wówczas jasno widzieć nie mogłem, stało się że raz na ulicy o

mroku nie zdjąłem przed nim czapki, co u nas za *crimen laesae majestatis* się uważało, potem świsnął ktoś na lekcji profesora historii którego nie lubiono, a ja powołany do wydania winowajcy wraz z innymi złożyłem się naturalnie niewiadomością.

W piątą więc już klassie nie bardzo byłem dobrze położony u dyrektora, a szósta pogorszyła jeszcze ten stan nieszczęśliwy. Gromy co chwila spadały na mnie, podwoiłem usilność, nic to nie pomagało. Kto chce psa uderzyć o kij mu łatwo, a władza nasza nie zbyt dobierając kija, używała i kułaka w potrzebie. — Wołano mnie nieustannie do kancelarji dyrektora objawiając groźno nieukontentowanie za dziurawe buty jednego, za nabitego guza u drugiego, za nieumianą lekcją innego z uczniów moich; mnie samego examenowano surowo, a nauczyciele wszyscy pod dyktatorską władzę potentata zgięci pokornie, przypodobać mu się usiłowali prześladowując tych dla których niechęć okazywał.

Padalem więc ofiarą nie umiając sobie wytłumaczyć czem nagniew taki zasłużyć mogłem i przebłagać go nie będąc w stanie. Trafiają się takie antypatje i w szkołach, a znać władca nasz czuł ją dla mnie. — Musiałem więc podwójnie nad sobą i swoimi pracować, a chodziło mi wielce o to, by niechęć jawna nie zaszkodziła do wzięcia medalu przy kończeniu nauk który dla przyszłości mojej zdaniem Wieloryba był potrzebny nieodzownie. Uczyłem się wedle wyrażenia szkolnego, na medal, i współuczniowie już mi go zawczasu przepowiadali, ale przeznaczenie chciało inaczej.

---

## VIII.

**M**ieliśmy w tejże klassie towarzysza syna zamożnych rodziców, który siłą podarunków, obiadów i wieczorków, śniadań i balików, przeszedł kurs cały. Ojciec kochający jedynaka, nie szczędził kosztów na podtrzymywanie go w szkołach, wszyscy nauczyciele byli od niego płaćeni pod pozorem lekcji prywatnych których nie dawali, kilka razy do roku przyjmowano Jaśnie Wielmożnego szampanem i kolacją, podarki płynęły z okoliczności każdych świąt i uroczystości, a Porfiry przechodził z klasy w klasę tryumfując przed innemi, przez wszystkich wychwalany jako dziecko największych nadziei.

Byłto chłopak żywy, próżny, rozpieszczony, ale nie bez zdolności. Obdarzony wielką przytomnością umysłu, w najkrytyczniejszym razie umiał sobie dać radę i wywinać się z niebezpieczeństwa. Lekcję umiał czy nie, mówił niezmiernie śmiało, szybko, bez zająknienia, tak że słów jego pochwycić nie było można. Śmieliśmy się z tych jego improwizacji zachwałych, ale nauczyciele przyjmowali je za dobre. Największą brednię wiedząc o tem recytował bezczelnie, pospiesznie, głośno i ani oka zmrużył choć sam był przekonany, że niedorzeczństwa wypłatał.

Porfirek ilekroć przechodził, głąskany był przez wszystkich, a nie mogąc w nim czego innego pochwalić, unoszono się nad jego przytomnością umysłu, rokując dlań wielkie powodzenie w świecie. Miał i to za sobą, że choć czuł rodzicielskie obiady i podarki, uniżonością i pokorą zbytnią ze swojej strony jeszcze do reszty jednał względy władzy, którą szanował w oczy, za oczy zręcznie jój język pokazując.

Filut jakich mało, gładko się wykręcał ze wszystkiego i niebardzo był przez nas lubiony, ale też niewiele dbał o to nie żyjąc wcale z towarzyszami. W ostatniej klasie ojciec który dotądłożył na przeprowadzanie syna coraz wyżej z honorami nagród i pochwał których mu nie szczędzono, postanowił wyrobić dlań medal koniecznie i od początku roku sprowadziwszy się do miasta, co niedziela dla nauczycieli dawał obiady, wozził naszego władzcę swoim powozem na podwieczorki, słał prezenta i powiększał dozy czując że po nich on i syn na laurach spoczywać będą mogli.

Zdania nasze, moje usilną pracą wymożone, jego opłacone sowicie, były prawie jednokowe w xiędze nauczycieli, choć Porfirek nie prawie nie umiał. Potrzeba więc było mnie koniecznie zgnieść stojącego na przeszkodzie, aby jego postawić na mojem miejscu.

Nie było to trudnem wcale do uczynienia przemocą, ale inajpodlejsi z ludzi mają wstyd

jakiś, a radziły tak swoją robotę ubarwić, aby miała pozór przynajmniej sprawiedliwości. Szukano więc do mnie przyczepki nie mogąc jej znaleźć rok cały i tak doszliśmy oba do ostatecznych examenów rocznych. Dyrektor dał był słowo że ulubieniec medal wziąć musi przedemną i dotrzymał go pod pozorem krnąbrności i zuchwalstwa, pisząc mi w rubryce obyczajów zdanie wątpliwe. To mnie oburzyło niezmiernie, bo w atestacie pozostać miał ślad wieczny mojego niedobrego prowadzenia się, wołałbym był niesprawiedliwe ocenienie nauki, niż rzucenie plamy na całą moją przyszłość. I choć poczciwy Wieloryb hamował mnie jak mógł przekonywając, że trzeba uleść w cichości lub pokorą starać się przebłagać dyrektora, przejęty niesprawiedliwością poszedłem publicznie upomnieć się o moją krzywdę.

To pogorszyło jeszcze sprawę moją, gdyż zręczny człowiek samo znalezienie się moje, przedstawił jako dowód charakteru krnąbrnego i usprawiedliwienia swojego zdania.



Zamiast więc medalu, za ledwie otrzymałem świadectwo szkolne, w którym że mi zły noty nie postawiono w obyczajach, winienem to był poświęceniu Słonkiewicza. Wieloryb bowiem potajemnie wyrobił topocałowaniem w łokcie dyrektora i napomnieniem o mojej skrusze i żalu. — Porfirek z powszechnym aplauzem otrzymał żądany medal i tegoż dnia po examenach, władzca szkoły, nauczyciele i całe ciało gimnazjalne na wielkim balu u ojca jego zapili zgryzotę sumienia libacjami szampana, a w kilka dni potem parę siwych koni i faeton znany bardzo ukazał się w stajni i wozowni pana dyrektora.

Chociaż z innymi współuczniami zaproszony byłem i ja na tę medalową uroczystość, nie poszliśmy na nią ze Słonkiewiczem i sami jedni w ciemnej izdebce przesiedzieliśmy wieczór ten smutnie gwarząc. — Wieloryb starał się we mnie wpoić tę cnotę, którą miał w wysokim stopniu, pokorę i rezygnację, usiłował mi dowieść, że potrzeba było pojednać

się ze wszystkimi, przebłagać gniewy i dalej jeść chleb korepetytorski.

— Mój kochany, — mówił, — nie w szkole tylko, ale tak jest wszędzie na świecie: móżniejsi kupują sobie co chcą, my powinniśmy im ustępować z drogi i milczyć aby nas nie zgnetli. Wojna z nimi próżna, bo sprzymierzeńców nie znajdziesz, a cały świat pójdzie za groszem isią, przeciwko prawdzie i sprawiedliwości. Jeżeli rozpoczniesz wojnę, powiedz sobie z góry że paść <sup>musisz</sup>, a maszże ty siły na męczeństwo?

— Ale to oburza! — wołałem.

— I mnie to oburza, — odpowiedział Wieloryb, — ale ja cierpię cicho, pomodłę się, Panu Bogu ofiaruję i dalej będę klepię. Co my biedni przeciw sile i liczbie! Próżnobyśmy wołali i porywali się, ci nawet co w duszy jak my czują, słowem się za nami nie odezwą.

Według téj teorii swojej czarnym kawał-

kiem chleba kontentując się Słonkiewicz, został przy Kulikowój i uczniach swoich, nie pragnąc więcej nad to co miał i pokornie zastosowując się do woli przeznaczenia, ale mnie, mimo usilnych przekonywań do podziału swojego losu namówić nie potrafił. Postanowiłem opuścić miasteczko, szkoły i pójść w świat szeroki dobijać niezależności.

Wieloryb słuchając marzeń moich uśmiechał się z litością i może miał słuszość..... wilem ucierpiał tylko a nie się nie dobił, cierpienie zostało najczystszy zyskiem tój walki, która mnie doprowadziła do stanu w jakim dziś widzisz.....

— Cóż z sobą poczniesz? — pytał niespokojny Słonkiewicz — gdzie pójdziesz szukać i jakiego chleba mając tu choć biedny ale gotowy? myślisz że tak łatwo o pracę nawet?

Z pełną i ja nie wiedziałem co z sobą zrobić, ale mocne miałem postanowienie opuścić miasteczko i dozór studentów, przewidując że mnie to nadal przy każdej zręczności

prześladować nie omieszkają, a zbyćby się radzi niepotrzebnego świadka popełnionej niesprawiedliwości. Po rozjechaniu się uczniów, zostałem jakiś czas u Pocewiczowej, która mnie błagała napróżno abym jej dalej nie opuszczał, potem przeniosłem się do Wieloryba i z nim spędziliśmy kilka tygodni wakacyjnych, czytając, chodząc po pięknej okolicy, rozprawiając o życiu jak ci co go jeszcze nie znają.

Wieczniemy z sobą sprzeczaali się różne mając pojęcia, ale te spory jeszcze nas lepszymi czyniły przyjaciółmi. Dotąd w szkołach oprócz naukowych, żadnej książki prawie nie miałem w ręku, teraz dopiero zacząłem czytać pożyczając z kolei od Słonkiewicza z kufra drogocenne jego xięgi jedna po drugiej i pożerając je chciwie. — Bóg wie co to tam było na dnie tego zbioru najdziwniej zebranego przypadkiem zawsze i bez żadnego planu. Słonkiewicz bowiem nie mógł wybierać i nabywał co najtańsze dzieła wszelkiej treści, tak że i słowniki i gramatyki i medy-

cyna i botanika i polityka i romanse, równe w kufrze jego miały prawo obywatelstwa. — Ozdobą i najdroższą perłą był francuzki Plutarchi pani Dacier, którego ja z zachwyceniem pożarłem, — po nim zaraz natrafiwszy na Djabła Kulawego i Dykcionarz filozoficzny!!

Niezatarte na mnie jednak wrażenie uczynił biograf stary, a świat ów greko-rzymski, wydał mi się w nim majestatyczny i potężny charakterem, daleko wspanialszy i idealniejszy od tego co mnie otaczało. Uwielbiałem pogański hart duszy tych bohaterów którzy nie mając przed sobą nieśmiertelności chrześcijan, świecili się aż do śmierci dla utrzymania dostojenstwa człowieczego...

Często ze Słonkiewiczem siadłszy u stóp Sokulój skały, w pustej a uroczo pięknej okolicy, po kilka godzin aż do zapomnienia się spędziliśmy na czytaniu i rozprawach.

Tum go jeszcze bliżej poznał, tego najzacniejszego z ludzi, cichą cnotę nieocenioną, małuczko miejsca zabierającą na świecie,

skromną, nie nie pragnącą, dopełniającą wszystkich swych obowiązków, a nie żądającą w nagrodę nawet czci i uznania. — Wieloryb ukrywał się z równą usilnością jak drudzy pokazywali, chronił od oczów, czynił małym, obawiał wszystkiego i drugich ceniąc przesadnie, sobie ledwie pocziwość śmiał przyznać.

Jednego ranka zdziwiono nas niezmiernie poselstwem od dyrektora, który mnie do siebie wzywał. Nie byłem już od niego zależnym i nie mogłem pojąć o coby chodziło i na co mu mogłem być potrzebny; chciałem z razu nie pójść, ale Słonkiewicz zaklął mnie na wszystko w świecie najdroższe żebym szedł natychmiast. Ubrałem się więc i choć niechętnie udałem do dyrektora...

Kazano mi czekać w przedpokoju chwilę, gdzie miał czas czyjeś wielkie oglądać kalosze i wspaniałe płaszcze axamitem podbite; nareszcie dopuszczono przed oblicze władcy, którego znalazłem na kanapie z fajką, a na-

przeciw niego wspaniałej postaci mężczyznę, z wasami sumiasteini, usiłującego się z nim rozmówić, choć oba różnemi mówili językami, wzajem je dla siebie kalecząc przez grzeczność.

Gdym stanął w progu, dyrektor wskazał na mnie ręką, wspaniałemu gościowi swemu.

— Otóż to jest *lupus in fabula*, — rzekł — o którym mowa, uczeń dobry, nie mogę powiedzieć, pilny, pracowity, obeznany z młodzią, bo od lat trzech korepetytorem był... mogę go panu Prezesowi zarekomendować.

Nie wiedząc czemum był winien tę łaskę, skłoniłem się grzecznie w milczeniu.

— Zdaje mi się, że życzyłeś sobie, — dodał, — znaleźć kondycję na wsi, oto właśnie się nastrecza u JW. Prezesa, który ma syna jedynaka i chce go do szkół przygotować.

Prezes oglądał mnie naprzód bacznie, i powstawszy rozpytywać począł o pochodzenie, nazwisko, familię, położenie.

Rozpowiedziałem mu szczerze życie moje, dodając że nie miałem całkiem familji i byłem zupełnie panem siebie.

Odprawiono mnie po chwili, wskazując mieszkanie Prezesa do którego dla umowy z nim udać się miałem za godzin kilka. Słonkiewicz gdy powrócił i opowiedział mu o co chodziło, razem się ucieszył i zasmucił; długo walczył z sobą usiłując odgadnąć co dla mnie lepszem być mogło, a ostatecznie zawyrokował, że wolałby mnie widzieć korepetytorem w miasteczku.

— Masz zaledwie rok osiemnasty, gdzie ci się samemu jednemu puszczać w świat, między ludzi! tysiące popełnisz niedorzeczności nie z dobrej woli ale przez nieznanomość stosunków... możesz sobie życie zwichnąć!

Gdym jednak oświadczył mu, że wypadek ten uważam za opatrzną ręką podany mi środek oswobodzenia się, Wieloryb smutny zamilkł i puścił mnie dla umówienia się z Prezesem.




Układ nasz przyszedł łatwo, gdyż ofiarowana mi nagroda za dozór przy synu Prezesa, zdała mi się niezmiernie i nadspodziewanie wielką, przyjąłem więc wszystkie warunki z wdzięcznością i we dwa dni potem ze łzami rozstawszy się z Słonkiewiczem, Kulikową i Pocewiczową, ruszyłem na wieś pełen najśłodszych nadziei.

---



## IX.

estem do zbytku gaduła, — przerwał z westchnieniem nieznajomy, ciągle przechadzający się po izdebce, obróciwszy się do Oktawa, — ale te lata pierwsze człowieka i dziś jeszcze gdym pluwał na życie, mają dla mnie urok wielki. Patrzę na nie jak na ciebie mój przyjacielu, z tą żądzą odżywienia się tchnieniem młodości, która napada nas przetrawionych spalenizną pod koniec życia utrapionego.

Jak widzisz nie było to tam wielkich rozkoszy i powodzeń, chleb czarny, nędza, ubóstwo, przemoc i niesprawiedliwość już w pier-

wszych latach, a jednak bije serce jeszcze na wspomnienie tych jasnych godzin pierwocin życia. — Śmieję się z tego siebie dawniejszego, który mógł naiwnie znajdować przyjemność w rzeczach co dziś oczówby nie odwróciły na chwilę, — a przecież kocham tego siebie lepiej niż dzisiejszego...

Wyjazd z miasteczka był początkiem drugiej epoki życia a raczej on dopiero otworzył mi na świat wrota.

Już w drodze poznałem Prezesa, który mnie wiozł, dostojnego obywatela wysoce ceniącego swą godność szlachecką i prezesowską, człowieka prawego zresztą ale obalamuczonego tradycyjnem poszanowaniem dla swego stanu i jego przywilejów, wierzącego głęboko w to że na szlachcica pracuje natura wieki aby go wydać, i że to drogie ję dzieło przewodniczy losom świata. Zresztą pojęcia jego szlacheckie były nawet uczciwe i piękne, bo przyjmował przynajmniej obowiązki, dopominając się przywilejów, i czuł ciężary

jakiemi je okupić należało; ale téż znowu idea chrześcijańska braterstwa całkiem mu znikała z oczów gdy szło o stosunki społeczne. Mnie którego brał do domu za nauczyciela do syna, acz niłokosa, jako szlachcica z pewnym uważał szacunkiem, ale wcale nie za równego sobie, a że szlachcica miał także kamerdynera, obu nas widocznie kładł na jednej szali.

Szlachciec bowiem bogaty i szlachta goła, stanowiły dlań dwie całkiem odrębne kategorie, a do ostatniej ja i lokaj należeliśmy. Nie powiem żeby mnie to poniżało, bo przywykłem był nikogo nie mieć za gorszego od siebie, i do innych zasług nie do położenia wartość człowieka przywiązywałem, ale pocieszenie było widzieć jak Prezes pilnie odrazu zakreslił mi granice w których zdaniem jego powinienem był zostawać, nie dopuszczając się zbytniej poufałości. W drodze zaraz dał mi to do zrozumienia uprzedzając że po odbytych w przytomności francuza lekcjach z jedynakiem, będę mógł zajmować się sobą,

nie mając obowiązku mieszać do towarzysztwa.

Podróż przeszła dosyć nudnie, gdyż odebrawszy instrukcje choć się z czemkolwiek odezwałem do Prezesa, zbywał mnie półsłówkami i siedział zamyślony i milczący. — Dziwnym trafem choć kilka wielkich lat rozdzielały mnie od mojej ucieczki z dziadem i śmierci jego, poznałem jadąc miejsca którem przebywał wprzód pieszo, okolicę naszą, nawet domek w którymeśmy mieszkali.

Niepodobna mi było od łez się powstrzymać przypomniawszy okropną śmierć starca i moje osierocenie z którego cudem wyrwany zostałem przez litość Słonkiewicza. Ale powóz minął szybko okolicę i o milę dalej dopiero ujrzeliśmy dwór Prezesa bardzo wspaniały, na wzgórzu przy wielkiej wsi nad stawem pobudowany. Była to rezydencja nie tak dawna, gdyż w kraju naszym wyjąwszy prawdziwie wielkich panów nie stawiano pałaców, i ten sięgał tylko ostatniej epoki, no-

sząc na sobie cechy smaku Stanisławowskiego. Znać było że i pałace i budowle otaczające go, wedle jednego planu odrazu postawione zostały... na miejscu pewnie gdzie działowski poczciwy był dwór szlachecki. Tu już widocznie na coś pańskiego zakrawało, mieliśmy i herby na facjacie w maltańskim krzyżu, i galerje na małą skalę dom z oficynami łączące, i oranżerje wspaniałe, i figarnie i — pompatyczną rotundę kościoła parafialnego naprzeciw alei z napisem złotemi literami:

„Soli Deo!“

Zakrawała ta dedykacja trochę na Wolterowską, a przepych tutejszy bardzo był wyblakły, ale mniemawemu jeszcze na tym świecie, wszystko się przepysznie wydawało.

Ze drżeniem wszedłem wprowadzony przez Prezesa na dół do sal i pokojów codziennych, gdyż na górze inny apartament od uroczystości i gości, ale i tu wśród ogromnych komnat ciemnych przyozdobionych gdzieniegdzie złotem zegary i obrazami w szerokich ra-

mach, zdało mi się po królewsku wspaniale, po izdebkach Kulikowój, i alkierzyku Pocewiczów.

Prezes był wdowcem, po żonie została mu córka mojego wieku i syn znacznie od niej młodszy, do którego trzymano francuza, ja byłem przeznaczony aby języka potrzebnego w obywatelstwie nie zapomniał i do niektórych pomniejszych lekcji. — Wszystko co żyło zbiegło się zaraz na powitanie gospodarza, który mnie dosyć lekko Franusiowi i jego nauczycielowi przedstawił.

Panienka która z Franusiem razem wyszła naprzeciw nas z towarzyszką już w wieku, nie była zachwycającą pięknosci, ale nie wiem dlaczego widok jój niesłychanie mnie zmieształ i wprost na mnie skierowane ciekawie oczy, zupełnie onieśmieliły. — Dotąd prócz Kulikowój i mojej Pocewiczowój a dziewcząt prostych nie widywałem nikogo, nie dziw że szykowniejsza i wdzięczniejsza twarzyczka i postawa takie na mnie zrobiły wrażenie. —



W twarzy téj był wyraz dobroci i rozsądku . niewysłowiony, coś sympatycznego i łagodnie poważnego zarazem.

Tu zatrzymał się nieznajomy i po chwili wabania patrząc na Oktawa, dodał:

— Na co mam kłamać lub kryć to co czułem, nie, potrzeba żebyś wiedział jak mała i drobna okoliczność rządzi ludzkim życiem. To dziecię mojego wieku lub nieco młodsze, ta panienka na którą ledwie śmiał podnieść oczy, miała złamać całą przyszłość inaczéj pewnie mogącą się rozwinąć... gdyby! a! gdyby... cóż powiem! fatalność! — są przeznaczenia i wola przeciw uim nie pomoże!

Wiem że ta nauka nie chrześcijańska — i że mnie za heretyka poczytać możecie, ale obronąć się jéj nie umiem.

Dwór tedy do którego wchodziłem, składał się z Prezesa, z córki jego Ludwiki, syna Franusia, w wieku już podeszłym krewnéj gospodarza pani Fendrich, niegdy żony puł-

- kownika w wojsku pruskim, i francuza pana Le Bon, który w istocie był szwajcar, ale tak jak do nas frankońskie wina za franczkie przychodzą, tak i szwajcarowie za paryżanów przyjeżdżają, po naszemu mówiąc — służył on za *francuza*. Był to sobie dobry człowiek, uległy, grzeczny, nie orzeł wcale, pracujący dla grosza i powiększenia spadkowej winnicy którą gdzieś miał koło Neufchatel'u, zresztą zimny, sanoi lub ale nieszkodliwie bo tchórz... Jestem pewien że Pan Bóg wielu stworzeniom daje tchórzostwo jako zabezpieczenie aby nie robiły złego na świecie, dlatego też każdego prawie tego rodzaju człowieka, strzedz się potrzeba — byłby zły gdyby się nie obawiał.

Pan Le Bon przy dosyć ogromnej głowie, niewiele umiając przywiązywał niezmierną wagę do tego co posiadał, uparty był trochę ale nie zaczepiając go, żyć z nim było można poznawszy słabości.

Franuś był dosyć zepsutem dziecięciem ja-

ko jednak, ojciec chował go do wielkich przeznaczeń i górne na nim budował nadzieje, w oczy go chwalił, niesłychane w nim upatrywał zdolności i wmówił w chłopca zarozumiałość. Pod roznaitemi pozorami wolno mu było nie uczyć się, swawolić, nie słuchać nauczyciela, drwić z niego, grymasić, a ojciec zawsze znalazł coś dla uniewinnienia ukochanego dziecięcia.

— Niepodobna go tak obarczać znowu suchą nauką, — mówił, — umysł jego pełen jestem, póki dźwignie póty się starać będzie podolać, Franek lubi naukę, ale wiek jego i żywość! Potrzeba czasem i swawoli dla ciała, nie lubię dzieci zbyt posępnych i spokojnych, to dowodzi charakteru skrytego i niedobrych skłonności.

Nieposłuszeństwo względem nauczyciela tłumaczyło się wewnętrznem uczuciem sprawiedliwości, lub skutkiem rozumowania do którego chłopiec miał zdolność szczególną, — żarciki ze starych wesołym humorem, dziwactwa stanem zdrowia.

Ale Franuś po prostu był zepsuty, rozpieuszczony, a pan Le Bon uznając to nie zadawał sobie pracy poprawiania go, obawiając się ojcu narazić.

Cale inaczej wychowaną była starsza córka Prezesa, której pierwsze lata zeszły pod okiem matki surowszój nieco a sercem umiejaczej opłacić to co czyniła z obowiązku, znać na nią było to tchnienie macierzyńskie które jak promień słońca roślinie, daje dziewczęciu barwę i życie. Luzia dorosła już panienka, dojrzała była może zawczasie, ale osierocenie które ją zostawując samotną dopełniło lat, nie odjęło naiwności i żywości dziecięcej.

Śmiała, wymowna, pełna uczucia, nie umiejająca nic pokryć i skłamać, dla ojca była ona przedmiotem nieustannego przestachu i niecierpliwości. Nie lubił jój wcale, a że Luzia obchodziła się jeszcze surowo z Franuśiem który ją przed Prezesem zaskarżał, do reszty straciła u niego łaskę. Była nawet zda-

je mi się mowa o tem aby ją nakłonić do klasztoru w celu by posag znaczny powiększył majątność przyszłego dziecięcia, ale gdy na pierwsze słowo o tem zakrzyknęła żywo, ojciec nie nalegając więcej, tajemnie tylko polecił pani Fendrich, żeby ją ku temu przygotowywać się starała.

Ale nikt mniej do klasztornego życia usposobiony nie był nad Ludwikę, która nieustannie walczyć z sobą musiała aby wybuchy swój szczeroci i oburzenia powstrzymać..... Nie będąc piękną Prezesówna miała dla mnie przynajmniej wdzięk nadzwyczajny, cała jej świeża i rumiana twarzyczka oddychała szczerotą, uśmiech pełen był dobroci, oczy świeciły blaskiem duszy szlachetnej.


Pani Fendrich jej towarzyszka, byłato sobie osoba spokojną, cicha jak *Le Bon*, rada swemu położeniu w domu Prezesa, które jej chleb i wygody zapewniało, zresztą posłuszną woli pana i brata i zabawiająca się czytaniem starych francuzkich romansów. Mówi-

ła niewiele, po większej części potakiwała każdemu, gdy nie mogła, milczała, lubiła kawę i konfitury, a w rozmowie często wspominała o Berlinie i Wrocławiu w którym z mężem jeszcze znaczną część życia spędziła.

Zaraz nazajutrz wytknięte mi zostały ścieżki po których chodzić miałem, naznaczone mieszkanie w oficynie przy panu Le Bon, godziny nauki, zabawy, obiadu i wieczerzy; z resztą czasu zbywającego mogłem robić co mi się podobało. Franuś mnie pierwszego wieczora obejrzał i znalazł dosyć znośnym, co wywołało pochwały innych gdyż dzieciak w istocie rządził tu ojcem, domem i wszystkiem; z pomocą jego otrzymałem indygenat w towarzystwie i wniósł do salonu.

---

## X.

 tym to domu dojrzałem i przebyłem długich lat kilka, — mówił dalej Poroniecki, z których spowiedź cięższa jest dla mnie niżeli z reszty mego życia. Prezes zajęty był urzędowaniem i gospodarstwem, większą część czasu przesiadywał w mieście, myśmy w towarzystwie o którym wspomniałem, pędzili dni i lata dosyć jednostajne, a jak dla mnie szczęśliwe. Nie umiałem się jeszcze, jak dziś, obawiać pomyślności, i nie wiedziałem że wszelkie szczęście ludzkie burzę zwiastuje.

Jak się stało żem śmiał spojrzeć na pannę Ludwikę i pokochać ją, dziś nie powiem... ale to przyszło nieznacznie i powoli, a z mojej strony nie mam sobie do wyrzucenia zbytku odwagi i natarczywości. Od pierwszego wejścia wydała mi się istotą jedyną ku której ciągnęło mnie serce, czemś tak mi potrzebnem do życia jak powietrze i światło, ale nie pragnąłem ani się do niej zbliżyć, ani jej to powiedzieć, taką przejmowała mnie bojaźnią i poszanowaniem dla siebie. Długo spotykały się nasze oczy i niema ich rozmowa, kończyła się wprawiając mnie w nieopisane rozdrażnienie.

Ubogi sierota wiedziałem dobrze że w oczach ojca spojrzenie nawet na jego córkę za grzech nieprzebaczony by było miane. Nie ośmieliłem się ani przemówić pierwszy, ani zbliżyć, ani wyjść z zakreślonego mi ścisłego obwodu codziennych stosunków. — Lubiłem patrzeć na Luzię ale ukradkiem, śledziłem jej kroki, słuchałem rozmowy, ciągle



zdaleka i zawsze oddzielony od niej przytomnem mi położeniem mojem.

Oswojono się ze mną prędko i nie wielkiemi obarczony byłem ciężarami, zrana odbywaliśmy lekcje z Franusiem który uczył się jeśli chciał, lub zmieniał program dnia według fantazji. Pogoda wypraszał się na konne przejażdżki lub przechadzki, w deszcz zachciewało mu się zabawy jakiejś, a francuz musiał z nim używać nadaremnych środków dyplomatycznych aby go do pracy posadzić choć na godzinę. Chłopak nie był bez zdolności, ale nadzwyczaj zepsuty. Najmniejszy przymus oburzał go i skoro Prezes powrócił na jaki dzień do domu, skarżył mu się że go niegodziwie męczono, a humor ojca i obejście jego z nami gniewne, świadczyły że Franuś nas źle przedstawił.

Ludwika czując jakim niebezpieczeństwem dla brata było to uleganie jego zachceniom, śmielój od nas z nim walczyła i codzień téż Prezes zinniejszym był dla niej. Ona je dna

w domu opierała się czasem bratu który o-  
twarcie mówił z dziecinną naiwnością, że  
chciałby żeby już sobie za mąż poszła i prze-  
stała mu dokuczać. Le Bon, pani Fendrich i  
cały dwór, nie mówiąc już o mnie, byliśmy  
powolnemi sługami Frania, który się rzą-  
dził jak zachciał, a najdziwniejsze jego po-  
mysły wzbudzały tylko w ojcu rozczulenie  
nad nieporównanem dziecięciem. Znając je-  
go władzę służba, oficjaliści wszystko co  
chcieli przez Frania robili, a pochlebstwo i  
dogadzanie, czyniły go codzień swawolniej-  
szym. Gdy siostra nie miała najmniejszego  
prawa żądać ni rozkazać, brat młodszy  
trząsał domem jak mu się podobało, a my  
stosować się zmuszeni byliśmy do jego dzi-  
wacznych fantazji.

Dzieciak nie miał złego serca, ale w nim  
zawczasie rozwijało się wszystko co jeszcze  
spać było powinno i więcej go zajmowało  
gospodarstwo, konie, sąsiedztwo, o łwiedzi-  
ny, niż nauka do której najmniejszej nie miał  
ochoty.

Staliśmy wszyscy, on, ja i francuz w oficy-  
nie, pani Fendrich z panną Ludwiką w pała-  
cu, a na śniadania, obiady i wieczory scho-  
dziliśmy się razem. Nieszczęśliwa stara ku-  
zynka była wówczas zwykle przedmiotem  
żarcików Franusia i zносиła je z cierpliwo-  
ścią przykładną, czasem podobało mu się  
drwić i ze mnie lub Le Bona, siostry tylko  
która mu nie przebaczała, obawiał się zache-  
piać.

Wieczory wedle programu spędzać powin-  
niśmy byli na czytaniu jakiegos, ale Franio  
rzadko na to przychodził i tak umiał przery-  
wać pytaniami, uwagami, że w końcu xiążkę  
zastępowala rozmowa, a chłopak wyrywał  
się do przedpokoju do sług których towarzy-  
stwo nad nasze przenosił i tam dokazywał  
jak chciał. Naówczas najczęściej pan LeBon  
nieśmiejąc gonić ucznia który z nim w cztery  
oczy bardzo ostro się obchodził, siadał przy  
pani Fendrich i rozpoczynał spokojną gawęd-  
kę o swoim Neufchatelu i państwie pruskiem,

a ja mimowolnie zbliżałem się do panny Ludwiki z którąśmy albo pocichu rozmawiali lub czytali razem.

Najszczęśliwsze to były życia mojego godziny i gdybym nie więcej nie zapragnął, nie posunął się dalej, dziś bym może jeszcze żył ich wspomnieniem spokojny. Wprędce panna Ludwika postrzegła zapewne jak wiele mi brakło do ukształcenia i jak pragnąłem wypełnić niedostatek mojego wychowania, ona mi pierwsza dała książki, otworzyła bibliotekę i wskazała co z niej wybierać. W dzień dosyć mając czasu na pracę własną, wieczorem potem jój zdawałem z niej sprawę, rozprawialiśmy, a umysł jój dojrzałszy i żywszy potężnie wpływał na mnie.

W pierwszym roku mojego pobytu u Prezesa choć czułem w sercu najżywsze dla niej przywiązanie i wdzięczność, a choć potrafiłem sobie zarobić na przyjaźń, nie dopuściłem nawet zuchwalszej myśli żadnej.

Stosunki nasze były braterskie, spokojne i czyste, czułem tylko że panna Ludwika codzień większą władzę miała nademną i że gdyby mi się ztąd oddalić przyszło, bolałbym srodze nad stratą jój jednéj. Staralem się téż może z téj obawy być jak najposłuszniejszym Franusiowi, jak najmniej go obarczać, a pracując nad nim nieznacznie, przy zabawie, w rozmowie wpajać mu potrosze potrzebę nauki i ogólniejsze jój zasady. Tak mi się to szczęśliwie jakoś powiodło, że Franio mnie polubił, a znajdując towarzysza do wielu niewinnych rozrywek, zapowiedział ojcu że się nigdy ze mną nie rozstanie.

— Pana Le Bon to sobie papa może wyprowadzić kiedy zechce, — rzekł wskazując mu na kolana, ale poczciwego Poronieckiego ja sobie arenduję na zawsze...

Prezes skutkiem tego poświadczenia obdarzył mnie w końcu roku złotym zegarkiem i dopuścił parę razy do zaszczytu palenia fajki w jego obecności, na krzeselku u proga.

Wpłyuałem nawet na postępowanie siostry z bratem, dowodząc jój z mojego dawniejszego doświadczenia, że taki umysł jak Franusia, siłą i groźbą nie da się pokierować, że potrzeba prowadzić go łagodnością i niemal uleganiem, obudzając tylko ciekawość, łechcąc próżnostkę wmawiając ochotę do pracy. Luzia trochę téż mniej była surową dla Franusia, a dzieciak i to przed ojcem wyśpiewał, bo się zaraz dopatrzył w tem mojego wpływu.

Po roku byłem już tu jak w domu i zdało mi się żem nigdy ich opuścić nie powinien, Franuś nawet zapowiadał że mnie z sobą weźmie do szkół, do uniwersytetu, a potem osadzi mnie w oficynie na resztę żywota.

Jedną z najtrudniejszych w świecie jest historia takiej nieszczęsnej miłości jak moja, — rzekł wzdychając Poroniecki. — Dziś ja sam sprawy sobie z niéj zdać nie mogę.

Zrazu kochałem sam o tem nie wiedząc, i panna Ludwika przywiązała się do mnie nie

myśląc by to uczucie na niebezpieczną namiętność urosnąć miało. Możebyśmy w tym stanie przetrwali szczęśliwi do końca, gdyby nie traf który w drugim już roku, zbliżył nas do siebie niespodzianie.

Krewna i dawna towarzyszka młodości Ludwiki, przybyła na dni kilka do nas; była to panienka nieco od niej starsza a wielce różna temperamentem, trzpiotowata, wesoła, swobodna i uuczytana francuzkiemi romansami. Śliczne to dziecko poczęło od tego, że przy pierwszym śniadaniu zrobiło ogląd towarzystwa pilny, wyczuło Frania, rozruszało Le Bona który zaraz nową na obiad włożył kamizelkę, wyciągnęło z pani Fendrich całą jej życia historję, i mnie nawet zawsze dość ponurego rozweseliło i ożywiło. Franek zerwał lekcje ażeby być z panną Julją przed którą na dziedzińcu konno się popisывał i uganiał po pokojach — wszystkich nas oczarowała.

Dowiedziałem się później że pierwszego

dnia obejrzawszy mnie i wysłedziwszy wej-  
rzenia nasze, powiedziała kuzynce, że się  
w nią kocham. We trzy dni potem na prze-  
chadzce, szepnęła do ucha mnie znowu, że  
widzi wszystko, ale że nikomu nie powie.  
Próżnom się zaklinał że nie rozumiem i nie  
wiem o co chodzi.

— Na co to tu kłamstwa! — dodała, —  
trzeba ślepego żeby nie widział jak się pań-  
stwo kochacie... ale ja was nie wydam...

Trzpiot dziewczyna raz sobie to wbiwszy  
w głowę, nie miała spokoju póki nas oboje  
nie zbliżyła i nie uregulowała naszych sto-  
sunków jak mówiła. Przez ciąg jój pobytu  
dalej zaszliśmy skutkiem zabiegów panny Ju-  
lji niż przez cały rok poprzedzający.

Może skutkiem tego że ona sama kochała  
się wówczas na zabój w ubogim chłopcu o  
którym rodzice jój słyszeć nawet nie chcieli,  
choć później wyszła za bogatego sąsiada,  
Julka pragnęła mieć towarzyszkę w Ludwi-  
ce. Ale o ile pierwsza była trzpiotem, druga

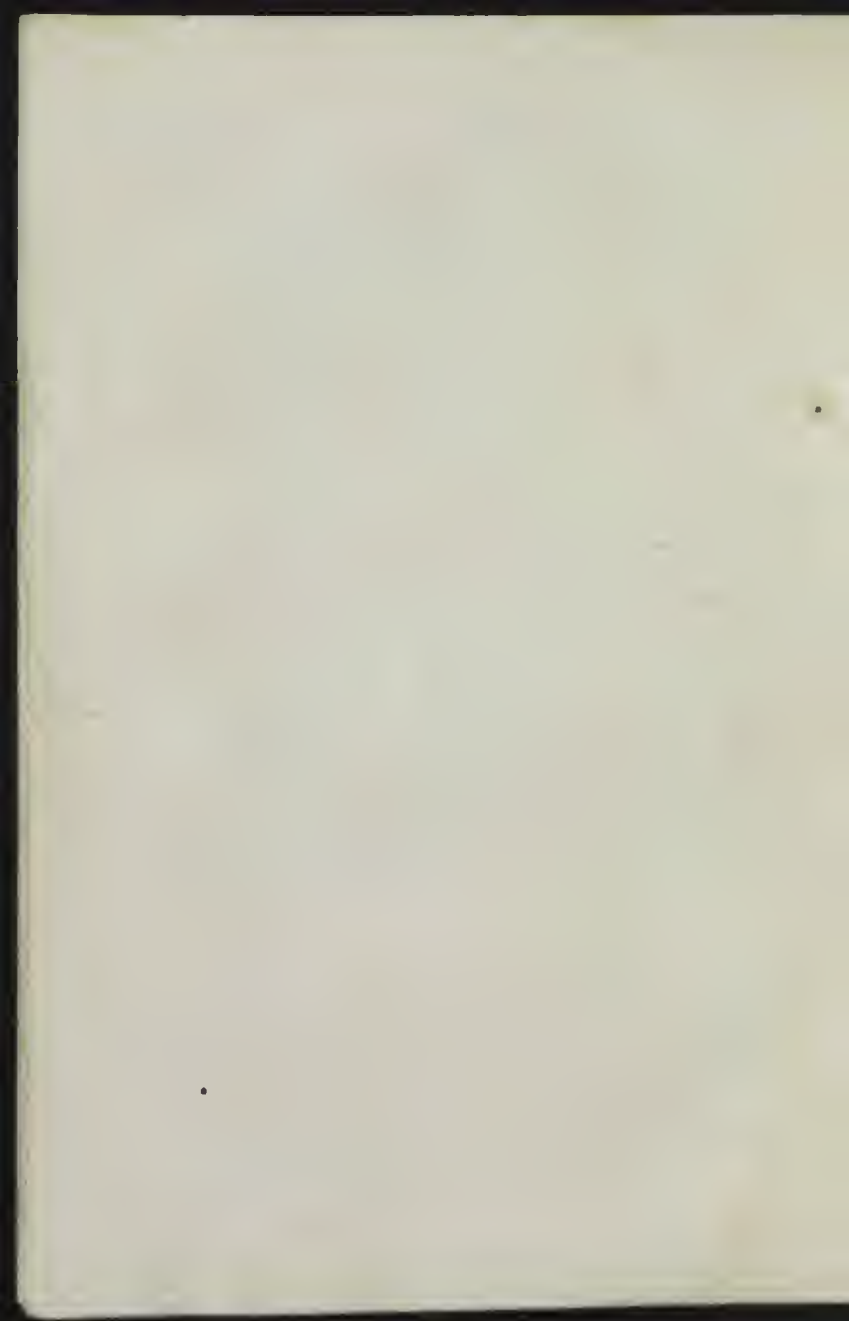


nawet w młodych uczuciach poważną. Wy-  
mógłszy na mnie wyznanie podchwycane u-  
wielbienia i czci dla panny Ludwiki, poniosła  
je z dodatkami swojemi do ucha towarzyszki,  
a w parę dni potem zaprzysięgła przedemną,  
że Luzia także mnie kocha, pobudzając i o-  
śmielając abym z nią był otwartzszy.

— Ale pani, — rzekłem, — na czem się  
to wszystko skończy? na wygnaniu z raju i  
wstydzie... na męczarni dla mnie, na cierpie-  
niu dla niej...

— A na czemże się zwykle kończy mi-  
łość? — odparła ze śmiechem Julja, — sama  
ona jest już szczęściem i więcéj od niej wy-  
magać nie potrzeba... nad to co dziś daje.. a  
jutro!? co tam!!

---



## XI.

**N**o pewna że po wyjeździe Julji oboje zbliżyliśmy się nieznacznie ku sobie, i sam nie wiem jak przyszło do tego, że jednego wieczora wśród swawoli Franusia i rozmowy Le Bona, powiedział jój że życie moje do niej należy.

— Słuchaj pan, — odparła na to smutnie, nie łudźmy się dziecinnie choć latami dziećmi może jesteśmy... nie sądz bym ja tak płochą była jak ta poczciwa Julka, ja nie pojmuję innego przywiązania tylko wiekuiste, i komu je poślubię, dotrzymam. Moje przywiązanie

stać się może dla ciebie zawadą i ciężarem, prześladowaniem, ale ja dwa razy w życiu kochać nie będę... Raz na wieki...

— I ja nie inaczej téż pojmuję to święte uczucie, — odpowiedziałem, — ale mi łatwob przyjdzie dochować je do śmierci, łatwiej niż pani wystawionój na pokusy, zostającój pod władzą ojca... dla którój ty się znajdziesz ludzi ponętniejszych od biednego sieroty...

— Wieszże pan co dla mnie ponętą? to może nie ów świat większy, nie ludzie błyskotliwi, nie dowcip i ułożenie, ale poczciwe wierne serce które m nie nie zdradzi...

Od tego wieczora długich wyznań, byliśmy związani na wieki, a słowo Ludwiki, tak naówczas sądziłem i — nie zdaje się bym się omylił, starczyło za największą przysięgę. — Opowiedziałem jój życie moje, sieroctwo, opuszczenie, ale położenie to nie wpłynęło na jój uczucie i nie zmieniło dla mnie, owszem zdawała się tem czulszą im z większej niziny

dźwigała mnie ku sobie. Nie sędzę by kto naówczas dostrzegł naszych stosunków które się mało zmieniły wzajemnem wyznaniem. Ludwika była spokojną i pewną siebie, ja posłusznym jój kierunkowi. Stara kuzynka i francuz nie posadzili nas o nic, a Franuś po dziecinnemu prześladować choć mu się coś śniło, niebardzo rozumiał jeszcze na jak strasznią nadeptał tajemnicę. Życie szło ciągle trybem jednym i płynęło niepostrzeżone dla nas pędem strzały. Czekaliśmy wieczora, zasiadali do czytania a książka służyła za pośrednika... Franuś wybiegał do przedpokoju, Le Bon zasiadał przy staruszce, my byliśmy przy świadkach a sami. W lecie na długich przechadzkach równie nas swobodnych zostawiano, i często dziecko z francuzem puszczało się daleko, staruszka pozostawała w tyle, my jedni szliśmy przy sobie niewyczerpaną prowadząc rozmowę.

Nie będę ci rozpowiadał dziejów tych znanych dwojga sere i dwojga ludzi — miłość jest to także ziarno gorczyczne maluczkie, a

wyrastające na drzewo rozłożyste, niepostrzeżone w sercu się zasiewa, obejmuje, zalega, i gdy je wyrwać potrzeba już zbyt głęboko wpiło się w pierś i opasało człowieka. Tak stało się z nami, a położenie moje w tym domu, nieustannym napawało mnie strachem. Ludwika śmielsza była odemnie choć lepiej może znała ojca i widziała niepodobieństwo otrzymania jego pozwolenia, ale przywiązanie jój mniej gwałtowne napozór, nie obawiało się ani walki z ludźmi ani z czasem.

Upływało już lat dwa mojego w tem miejscu pobytu gdy jednego wieczora sobotniego Prezes nie jak zwykle sam, ale w towarzystwie młodego jakiegoś człowieka powrócił do domu. Gości u nas bywało nie wielu oprócz blizkich sąsiadów i Julii która kochając się raz trzeci, dziwiła się mocno Ludwice i mnie żeśmy dotąd trwali w statecznem i rosnącym codziennie przywiązaniu do siebie. — Dało to wielce do myślenia, że Prezes przybywszy zaraz posłał do pani Fendrich oznajmując aby srebra dobyto i wieczerzę podano wystawnie

w górnym salonie. Oprócz imienin Prezesa nigdy się to jeszcze za mnie nie trafiło, mocno więc byliśmy wszyscy zaciekawieni przybyłym, gdy Franuś który pierwszy do ojca poleciał, doniósł nam że z nim przyjechał p. Bolesław M.... i szepnął na ucho mnie: — To już pewnie do Ludwisi, a czas żeby sobie za mąż poszła...

Chociaż nie brałem tych słów dziecka na serjo, wstrząśłem się jednak i pobladłem, a Franek postrzegłszy to dodał:

— O! o! pan byś temu nierad, ale to nie nie pomoże, przecież Ludwisię za mąż wydać musimy... a jak papa każe to pójdzie choćby nie chciała... Pan Bolesław bogaty, prawda że zająkliwy i ojciec jego świniami handlował... ale ma piękny majątek...

Po samem podaniu herbaty widać było że Prezes przyjmował nie bez zamiarów, dobyto stare srebra, oświecono pokoje, pannie Ludwice kazano się ubrać i my nawet odświętne przywdzieliśmy stroje.

Choć domyślała się bardzo o co chodziło, biedna ofiara ukazała się ze spokojem który i mnie dodał odwagi, bardzo skromnie ubrana, smutna zresztą i zrezygnowana. Pan Bolesław był przyzwoitój powierzchowności i dosyć ładny mężczyzna, otarty widać w świecie, ubrany wykwintnie bardzo, trochę może zawiele noszący błyskotek, ale zająkliwy szkaradnie i nie wielkich zdolności. — Ojciec dorobkowiec chodzący w kapocie zyskawszy majątek w handlu bydłem i karmieniem wieprzami, starał się dając mu fortunę znaczną, stosowne téż obywatelskie, jak u.ówił, dać wychowanie. Powiodło mu się to co do formy, gdyż pan Bolesław mógł wszędzie pokazać się przyzwoicie, ale na głowę ciasną nauczyciele publiczni i prywatni środka nie znaleźli. — Lubił hulać bo mu to nieco język rozwiązywało, polował konno jeździł doskonale, a w towarzystwie kobiet ciężko mu szło jakoś i nie bardzo w niem sobie podo- bał. Przybycie jego do domu Prezesa na które stary ojciec nakłonił, miało w istocie na



celu staranie o pannę Ludwikę, ale chłopak posłuszny rodzicowi swemu, miał na myśli z niego się później wykreć. Nie wiele też sobie zadawał pracy aby się podobać z początku, i więcej mówił do ojca niż do córki, aż dopiero przy wieczerzy posadzony przy pannie Ludwice, lepiej znać się jęj przypatrzywszy, nieco stał grzeczniejszym.

Ja płonałem ze strachu i niepokoju, a choć mnie wejrzenia jęj podtrzymywały, nie umiałem być panem siebie i skryć co się we mnie działo.

Prezes występował nie tylko ze srebrami i salonem, ale w rozmowie z przodkami, stosunkami, znaczeniem w obywatelstwie i wielkością swoją zręcznie się popisując, co jednak na chłodnym gościu nie zdawało się wielkiego czynić wrażenia.

Panna Ludwika jednak mimo chłodu i obojętności prawie pogardliwej jaką mu okazywała, podobała się widocznie, gdyż naza-

jutrz został jeszcze na obiedzie i jakliwą swą bawił ją rozmową.

Po wieczerzy gdyśmy się rozeszli, dowiedziałem się od Franusia, że ojciec nie rad znalezieniu się córki, powołał ją do siebie i surowo zgromił zalecając jak największą grzeczność dla pana Bolesława; z dodatkiem, że go sobie życzy za zięcia.

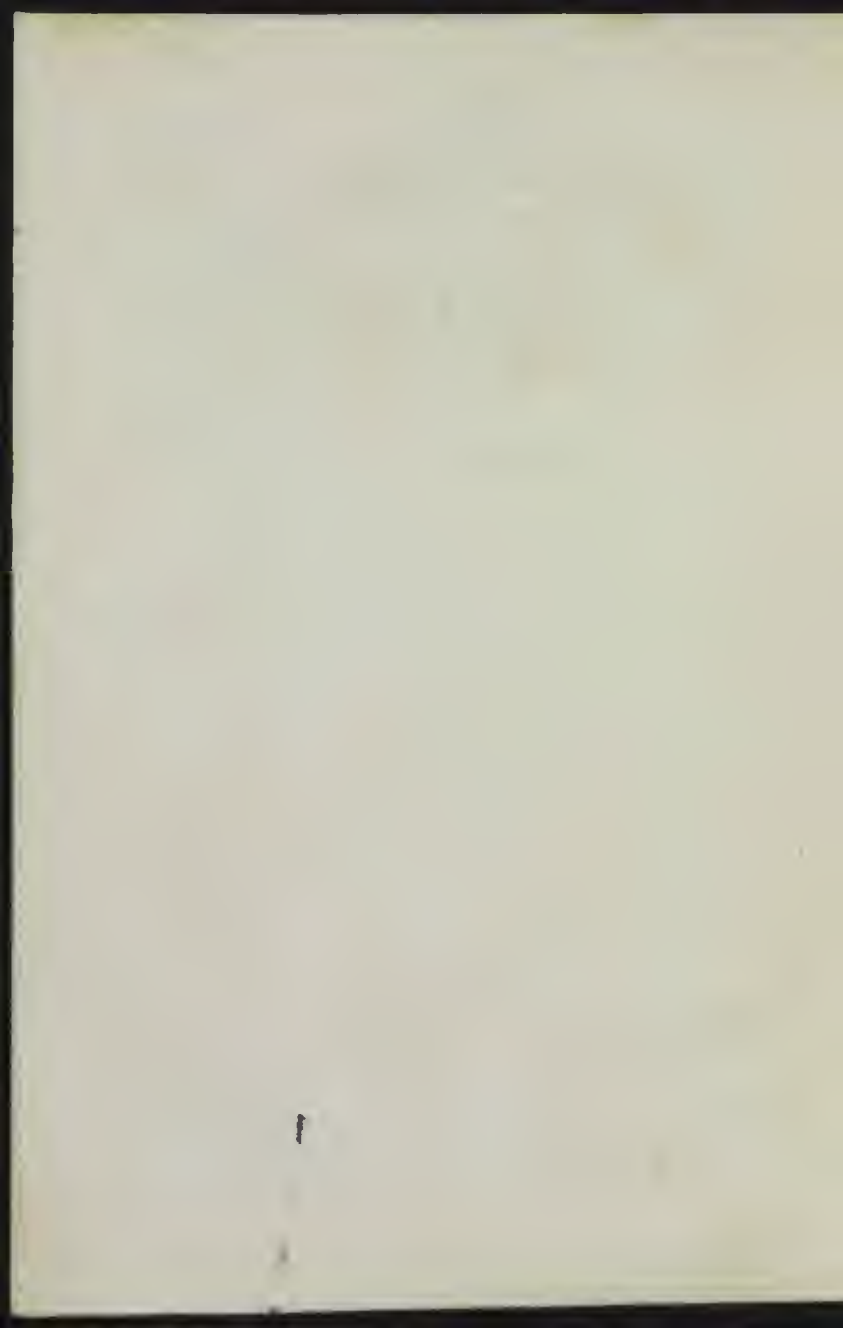
Franek, który podsłuchiwał pode drzwiami swoim zwyczajem, wygadał mi się, że Ludwika śmiało ojcu odpowiedziała, że Prezes mocno się gniewał, że w końcu trzasnąwszy drzwiami, odszedł grożąc i piorunując.

— Papa jak chce to mnie być zły, dodał, ze mną to nie, bo ja się zaraz rozpłaczę i rozchoruję, a on się tego boi; ale z Ludwiką, — to strach! ażem ja się zląkł.


Nie to wszakże nie pomogło i nazajutrz ujrzałem ją z wczorajszym pokojem i chłodem przyjmującą pana Bolesława, który widocznie zdziwiony był obojętnością córki, równie

jak nadskakiwaniem ojca. Odjechał wreszcie nie wiem w jakich usposobieniach tą razą, ale Prezes nie szczędził mu grzeczności i odprowadził go aż do ganku, zapraszając, aby jak najczęściej go odwiedzał.

---



## XII.

dyśmy po odjeździe ojca znaleźli się znowu sami, a ja przerażony począłem pytać co począć mamy, panna Ludwika odpowiedziała mi z zimną krwią ściskając moje rękę. Cierpieć i czekać.

— A jeżeli ojciec zmusić zechce? zapytałem jęj.

— Któż może zmusić człowieka? odpowiedziała, ja tego nie pojmuję, on sam tylko jest panem swoich czynności, jak skoro ma pojęcie ich znaczenia... Bądź spokojny...

Położenie, moje wychowanie, nawet charakter, uczyniły mnie daleko słabszą od niej istotą, alem energji nabierał z tego szacunku i przywiązania, jakim mnie natchnęła. Byłyby rzeczy pozostały w tym jeszcze stanie szczęśliwym stosunkowo dla nas obojga, w jakim dotąd trwały, gdyby nie Julja znowu, która poszedłszy już za męża za trzeciego ulubieńca zawsze się jeszcze mocno sprawą sercową kuzynki zajmowała, i postanowiła sobie namówić ją do stanowczego kroku. Miałem już wówczas lat dwadzieścia kilka, a prawie tyleż panna Ludwika, w obliczu więc prawa, byliśmy pełnoletniemi, a Julja jeła nas oboje silnie namawiać do zawarcia potajemnych ślubów.

— Mów ty sobie co chcesz, to jedno może wam przyszłość zapewnić, powtarzała. Prezes będzie musiał przystać... inaczej wynajdzie tysiąc sposobów na znęcanie się i przy-muszanie i dokona waszego nieszczęścia...

Luzia oburzała się na samą myśl potajem-

nego związku, ale Julja tak nam to umiała pięknie tłumaczyć, tak przekonywająco przemawiała, tak silnych używała argumentów! Zresztą myśmy oboje widzieli w tém jedyny środek zabezpieczenia przyszłości.

— Pobierzcie się tylko, mówiła przyjaciółka; niech to stosunków ni życia waszego nie zmienia bynajmniej, a zapewni wrazie naciśku...

Ale projekt ten dziwny, zdawał się nie do uskutecznienia: wynaleźć xiedza coby chciał dać ślub tajemny, wymknąć się obojgu nie postrzeżonym... nie widzieliśmy do tego sposobu...

Julja w ręce klaskając wszystkiego się podjęła...

Właśnie w majątku, w którym mieszkała z mężem, był proboszczem ośmdziesięcioletni dziecinniały staruszek, na niego więc rachowała Kostarska, że odnalowawszy mu nieszczęsne położenie dwojga prześladowa-

nych kochanków, nakłoni do dania ślubu. Mąż jęj naturalnie pomagać w tem musiał. Luzia miała przyjechać w odwiedziny z panią Fendrich, towarzyszkę można było na czas jakiś usunąć, ja mogłem dostać pozwolenie do miasteczka i przybyć wcześniej do plebanji i t. d.

Przyznaję że osnuty plan choć ziszczał moje nadzieje był mi już wówczas straszny i kazał przeczuwać złe jakie miał wywołać; miałem wstręt do takiego podstępu, do ukrywania się i kradzieży która położenie moje w domu czyniło w najwyższym stopniu ohydną. Zrobiłem tę uwagę Ludwice, ale ona nie wiedziała w tem nic zdoznego.

— Jestto tylko ponowienie tych przysięg któreśmy dawno sobie uczynili, — rzekła — uroczystsze może ale nie świętsze od pierwszych. W oczach ludzi ono nas łączy nieodzwrotnie i jako środek przeciw nim użyć go musimy, inaczej wiem że ojciec by nigdy nie pozwolił.



Zdziwiło mnie przyzwolenie Ludwiki, ale nie mogłem już się opierać skoro ona tego zdawała się żądać, — zgodziłem się na to czego Julja tak gorąco dla zabawki swój — może — pragnęła. Myślałem jednak że narzenie przyjaciółki ziścić się nie będzie mogło, że znajdą przeszkody a rzecz się rozchwieje. Kochając z całej duszy czystą i szczerą istotę, nie chciałem jój pozyskać podstępem i zdradą skrytą, a im miłość moja dla niej była większa, tem przykrzejsza ta ostateczność.

W niepokoju oczekiwaliśmy nowin od pani Julji, a ta tak się gorliwie krzątała, że w przeciągu kilku tygodni potrafiła ułożyć wszystko, namówić xiędza staruszka, wynaleźć dyskretnych świadków, urządzić zaprosiny do siebie.

Obojgu nam brakło czasu do namysłu, bo przekonany jestem, że Luzia byłaby sama oparła się temu potajemnemu ślubowi. Julji potrzeba było tajemniczych zajęć, intrygi,

dramatu, a nie mając ich dość we własnem życiu stwarzała je by się rozerwać i długie już godziny pożycia małżeńskiego wypełnić. Ona zajmowała się wszystkim, obmyśliła, przewidziała i na dany dzień najętymi końmi ruszyłem do miasteczka pozornie, a w istocie tylko na plebanję do Z....

Wieczorem nadjechała Ludwika śnielsza odemnie, spokojna i oboje nas wprowadzono wraz ze świadkami umówionymi, (z których jednym był mąż kuzynki), do małej ogrodowej kapliczki. — Xiądz staruszek choć przekonany zawczasu, robił jeszcze cokolwiek trudności przed ślubem, ale wreszcie bardzo pospiesznie i nie bez obawy drżący połączył nas i pobłogosławił, poczem podpisał ze świadkami akt którego dwie kopje mnie i żonie mojej oddane zostały.

Julja była tryumfująca, ja szczęśliwy ale smutny, Ludwika spokojna jak zawsze, i gdyśmy wyszli z kaplicy a ja do nóg się jęj rzuciłem, podniosła mnie z ziemi i rzekła głosem odwagi pełnym.

— Teraz, śmierć chyba nas rozłączy!!

Nie było czasu bawić i choć gospodarze chcieli bym dłużej pozostał, obawiając się podejrzeń, ruszyłem zaraz do miasteczka, a ztamtąd nocą powróciłem do domu. Ludwika przyjechała dopiero nazajutrz, i nic w pozor-nych stosunkach naszych nie zmieniło się, a ja po jakimś czasie odetchnąłem ze strachu.

Tymczasem pan Bolesław przyjechał raz, drugi i trzeci, przesiadywał po dni kilka, a Prezes coraz był natarczywszy, a Ludwika wciąż mu odpowiadała że nie chce wychodzić za męża. Franuś który już wyszedł na chłopaka ale nie zmienił uczuć swych dla siostry i chęci pozbycia się jej z domu, pierwszy nas podsłuchawszy i podpatrzywszy gdyśmy się schadzali na długie rozmowy w ciemnej ulicy kasztanowej, powiedział przed ojcem.

— Wszystkiemu temu winien Poroniecki.

— Poroniecki? — zapytał Prezes.

— A tak, — dodał Franuś, — bo on się kocha w Ludwisi, a Ludwisia w nim, już nawet żoną i mężem się nazywają!

Prezes rzucił się na niego gwałtownie chcąc zapobiedz by takich potwarzy nie powtarzał, ale chłopiec obstał przy swoim i wręcz powiedział ojcu że mu ułatwi podsłuchanie naszej rozmowy, aby się na własne uszy przekonał, że go nie oszukuje.

Nie wiem jak tam się to stało, ale w pamięci mojej do dziś dnia ostatnia scena tego dramatu który m omal życiem nie przypłacił. Bytność pana Bolesława wymagała narady z naszej strony, przywykliśmy byli oprócz tego schodzić się na krótką chwilę w ogrodzie albo w przedpokoiku Ludwiki po odejściu jej służącej, zgaszenie światła w jednym oknie a postawienie go w drugim, było dla mnie znakiem, miałem klucz od drzwi dobrany do nich wśród starego żelaztwa... Było około północy gdy m się wkradł do pokoiku Ludwiki i ledwie miałem czas ucałować jej rękę,

gdy szelesz dał się słyszeć za drzwiami i tuż za mną wpadł Prezes tak zmieniony i straszny, że go nie poznał.

Stanął, ale mu słowa na ustach zamarły, córka rzuciła mu się do nóg i wskazując na mnie zawołała:

— Mój mąż!

— Mąż? kto? ten żebrak! ten włóczęga, ten łajdak mężem mojej córki! kochanek chcesz mówić bezwstydną, — krzyknął, — ale nie mąż!

— Panie Prezesie, — rzekłem z kolei, — możesz mnie zabić, ale nie masz prawa hańbić mojej żony... xiądz nas połączył!

— Xiądz! ślub! co to jest! — ryczał starszec — gdzie, jak! moja córka bez wiedzy mojej poślubiona! Cóż to za ślub! jam przecie nie pozwolił i nie błogosławił... Różę na tego łotra... na tę łotrzycę i precz z mojego domu...

Nie pamiętam zresztą jego słów które były dzikim krzykiem; ale po chwili opamiętał się i przeleżał aby go nie posłyszano, wyrzucił mnie za drzwi cisnąc za gardło.

— Słyszysz, — rzekł stłumionym głosem, jeżeli noga twoja postanie na dziesięć mil w koło, jak psu ci w łeb strzelę... świadkiem mi Bóg że to uczynię... jeśli piśniesz słowo struć cię każę lub ubić... jeśli twe imię posłyszę, zemstą cię gnać będę nieubłaganą... Idź i przepadnij...

Ludwika chciała udać się za mną, ale ojciec rzucił ją o ziemię i omdlała...

Nie mogąc jój tak porzucić, przyparłem się do drzwi i nieśmiejąc walczyć z ojcem żony, usiłowałem bezwładny stawić mu opór. Ale po chwili ocuciła się Ludwika, i sądząc że mi grozi niebezpieczeństwo, rozkazała ustąpić.

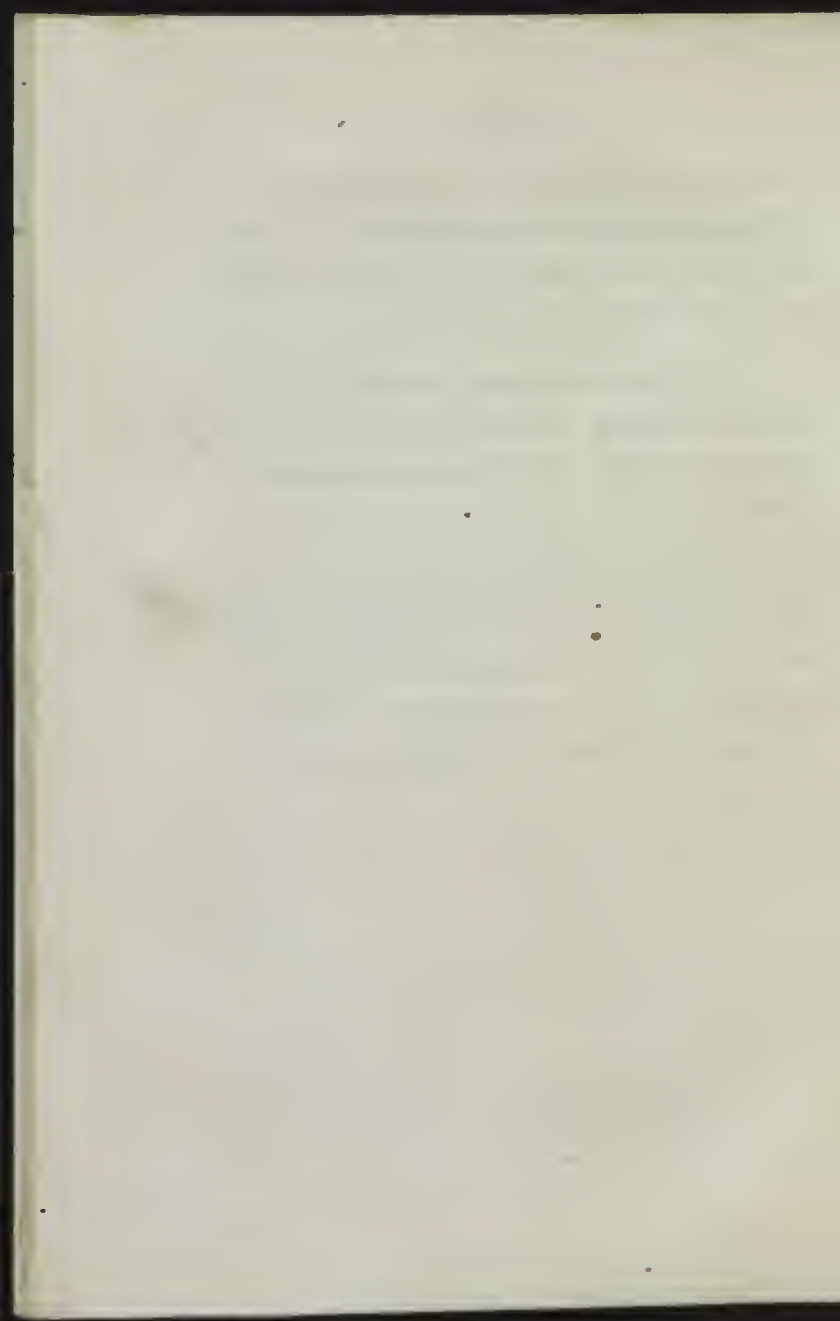
— Idź, — rzekła, — odwagi i mężstwa, na tym lub innym świecie znajdziemy się, ja wia-ry nie złamię, idź i ratuj życie.

Prezes ściągnął mnie na dół zamknąwszy córkę która iść chciała razem ze mną i dzielić los jaki mnie czekał, a u dołu wschodów powtórzył jeszcze:

— Nie zachodź nigdzie jeśli chcesz życia, płaszczy i czapkę rzuć nad stawem, zgiń ty i nazwisko twoje... lub się innym pozbędę cię sposobem...

Wszystko to odbyło się jak piorun pada w jedno mgnienie oka, tak, że gdym się znalazł w podwórzu i ciemności, długo do siebie przyjść nie mogłem, nie byłem w stanie utrzymać się na nogach, ni obmyśleć ratunku.

---





### XIII.

**J**ak dla mnie skończyły się kilka lat jedy-  
nego szczęścia jakiego w życiu doznałem;  
kradzonego, podchwyconego losu i ro-  
zwianego jak sen który przerywa burza. U sto-  
pni tego domu który lat tyle był moim, sta-  
łem odarty, wypędzony, nie mając środka  
zaradzenia sobie, nie wiedząc co pocznę...  
Groźba starca tkwiła mi w uszach, a nie wąt-  
piłem że ją dotrzymać potrafi, nie wolno mi by-  
ło nawet zejść do mojej izdebki, pożegnać  
ją, zabrać z sobą pamiątki moje i skarby...

Jak stałem pobiegłem po nad staw znajo-  
memi drogami kierując się do wsi w której

mieszkała Julja, i przybyłem znużony i nieprzytomny nadedniem. Noc ta będzie mi do śmierci pamiętną, bo trwała dla mnie wieki i zdawała się nieskończoną... o brzasku dopadłem do dworu w którym wszyscy jeszcze spali, zwróciłem się więc do plebanji starszka, sądząc że go przebudzonym zastanę i rady zasięgnę... Świeciło się téż w okienku, drzwi były otwarte... wsunąłem się pocichu, ale odrętwiały stanąłem w progu. Wśród izdebki pustej i ciemnej ubogi tapczanik pokryty kilimkiem stał na ziemi, wkoło paliły się kilka świec w cynowych lichtarzach, — na nim spoczywał staruszek ów co nam ślub dawał z krzyżykiem w ręku w czarnej wyszarzanój sutannie. Pilnujący ciała braciszek spał ze spuszczoną na stół głową... nikogo więcj nie było...

Poklekłem powoli w progu widząc w tem zdarzeniu jakby znak losu który mi nie chciał przebaczyć i groźbą spotykał śmiertelną na pierwszym kroku; łzy mi się puściły z oczów, rozplakałem się jak dziecko. Łkanie moje

przebudziło znać śpiącego który się nieco wystraszył, ale przekonawszy się kto jestem, powrócił do przerwanych pacierzy. Gdy rozedniało dobrze, powoli poszedłem do dworu chcąc się widzieć z panią Julją. — Dopuszczono mnie do niej nie łatwo, ale z twarzą jęj poznałem że mi nie pomoże wiele tak była pomieszana i wylękała.

— Co pan tu robisz? — spytała, — ojciec się dowiedział, — wołała załamawszy ręce, mów, jak to było? a Luzia?

Opowiedziałem jęj wszystko, wzywając ratunku do którego niejako dawniejsze postępowanie ją zobowiązywało.

— Ale ja nic panu poradzić... nie zrobić nie mogę... odpowiedziała mi zmieszana — ściągnęłabym i na nas gniew Prezesa który nie przebacza nigdy... uciekaj pan jak najdalej i staraj się ukryć, a jeżeli się co tu zmieni damy mu znać...

Nie śmiałem jęj powiedzieć że uciekać na-

wet nie miałem o czym i jak, a ona wcale się o to nie zdawała troszczyć i myślała tylko aby się mnie pozbyć jak najprędzej... wypchnięty więc prawie z tego domu bez grosza, w rozpaczę znalazłem się drugi raz w życiu na rozdrożu, rzucony losowi na pożarcie; nie mając w świecie prócz biednej Ludwiki która równie cierpiała, nikogo coby się mną zaopiekował, coby mnie sercem wsparł lub dłońią.

Młody chłopcze któremu przy każdym odjeździe z rodzicielskiego domu na błogosławieństwach, groszu i łzach pocziwych nie zbywa, a co może nieraz przecie skarżysz się na srogość losu, gdy nie masz za co kupić rekawiczek — powiedz mi, jakbyś sobie dał radę?

Nie wiem jakim cudem pugilares w którym zawsze przy sobie nosiłem metrykę ślubną bojąc się wytrychów i ciekawości Franusia, razem z papierami familijnymi został przy mnie; znalazłem także zegarek mój i kilka złotych w kamizelce...

Tak uposażony z rozpaczą w duszy myśląc co się dzieje z nieszczęśliwą Ludwiką, puściłem się na oślep do tego miasteczka do którego już raz uciekałem dziecięciem, zapomniawszy że tyle lat oddalenia zmieniły w niem moje stosunki i pozbawiły przyjaciół. A żem się lękał i pogoni i zasadzki, bo Julia zapewniła mnie że Prezes na wszystko gotów gdy o honor domu jego iść będzie, musiałem skrywając się manowcami mrokiem przedierać piechotą... Nawet w miasteczku w którym on bywał często, nie czułem się bezpiecznym, ale nimbym wyruszył dalej, potrzeba mi było zasięgnąć czyjejs rady, bo nie miałem najmniejszego pojęcia tego co mi wypadało począć z sobą...

Późnym wieczorem jak złodziej wkradłem się znaną mi ulicą do miejsca tak dla mnie pamiętnego, tak mi dziś jeszcze przytomnego, że mógłbym w niem każdy kamień powitać. Budowy, ściany, dachy, wszystko to dziwnie nietknięte i niezmienione zostało jakim porzucił, ale zdawało się jakby zupełnie nowy

lud zamieszkiwał domy stare... ani jednéj twarzy znajoméj... ludzie jacyś inni... życie nowym urządzone trybem... Mieścina znacznie się uporządkowała i rozrosła w głębi, i jedna może ulica owa pozostała jaką była od początku... błądziłem długo nim się dobiłem do dworku Kulikowéj.. Dopytując o Słonkiewicza i o nią, zetknąłem się z jakimś grubym jegomością który mnie nie chciał zrozumieć i wmawiał mi że tu nigdy żadnéj Kulikowéj nie było i nie pamiętają, że pana Słonkiewicza imnie jest przekręcone, że uczniowie nie stoją nigdzie w mieście ale w jakimś gmachu osobnym i t. p.

Szczęściem wychodząc z podwórza na którym mnie o mało psy nie zjadły, spotkałem się z żydkiem roznoszącym dawniej jabłka i pierniki którego poznałem choć bardzo był postarzał, nosił on teraz katarynkę na zgarbionych plecach i długo musiał sobie przypominać nim mnie poznał. Spytałem go o Słonkiewicza, ale o nim nie potrafił nauczyć, o Kulikowéj wiedział że mieszkała w komor-

nem na Katedralnej ulicy żyjąc z jałmużny tak była podupadła przestawszy utrzymywać studentów. Prosiłem go żeby mnie do niej zaprowadził, i dobiłem się wreszcie do staruszki, którą znalazłem w wilgotnej ciupce odgradzonej tarcicami od większej izby gospodarzy, w łóżku, chorą, zestarzałą straszliwie i zbiedzoną. — Zaledwie poznać mnie mogła, a gdym się jój przypomniał, poczęła płakać rzewnie. — A! dobre to jeszcze były czasy moje dziecko, — zawołała, — kiedy Słonkiewicz był u mnie, jeszczem to ja była gospodynią i moje chłopaki byli przy mnie... a dziś... ze mnie żebraczka!

— A dzieci? — spytałem.

— Cóż dzieci, jeden służy na wsi, drugi podział się kędyś że go dopytać nie mogę, jak pojechał nad granicę tak jak w wodę wpadł. Zostawili mnie starą na barłogu i gdyby nie litość ludzka z głodubym umarła dawno...

— A Słonkiewicz?

— Już ja i nie wiem co się z nim stało, gdzieś go wzięli na wieś na nauczyciela... jeszcze rok temu przysłał mi trzydzieści złotych wiedząc o mojej biedzie... a teraz ani słychu...

— A Pocewiczowa?

— W szpitalu moje dziecko, dawno paraliżem tknięta... może umarła — nie wiem.

Nie śmiałem pytać o nikogo więcej i załamałem ręce.

— Gdybyś miał jaki grosz zbywający, — dodała Kulikowa... nie zgrzeszyłbyś dając mi go, bo często o suchym chlebie i odegrzanym krupniku po tygodniu żyję, a stara jestem...

Nie mając jej zostawić co innego, oddałem zegarek który miałem i wyrwałem się z tamtąd niewiedząc dokąd pójść i co z sobą zrobić!

Wybiegłszy ulicą, poszedłem gdzie oczy poniosą... wieczór był i w miasteczku zapa-



lano latarnie, a ruch jakiś powozów oznajmował zabawę. Znając życie spokojne tutejszych mieszkańców łatwo mi się było domyśleć niezwykłego jakiegoś wypadku, widowiska, uroczystości, gdyż ludność cała i mnóstwo zaprzęgów były w ruchu na rynku. Piesi i jezdni kierowali się wszyscy jedną ulicą, którą i ja pociągniony tłumem poszedłem; i nie wiem jak znalazłem się u wnijscia małego teatru oświeconego kilką lampami przed którym wysiadali widzowie liczni i cisnęła się publika na miasteczko te nadzwyczajna.

Rzuciłem machinalnie oczyma na afisz wielki i przystrojony w rysunki, na którym stało jak dziś pomnę, ogłoszenie następujące:

Towarzystwo małych uczonych  
będzie miało zaszczyt  
dać przedstawienie dramatyczne

1. Arlekin i Colombina, odegra JMP Jack i Molla.

2. Wzięcie twierdzy Gibraltaru, przy któ-

rem małpy strzelać i walczyć będą, zakończy fajerwerk i ognie bengalskie.....

Nie doczytawszy afisza zgłupiały mojem nieszczęściem, powtarzałem wciąż początkowe jego wiersze jakbym się ich na pamięć uczył i stałem potrącany przez przechodzących, gdy wtem ktoś mnie uderzył mocno po ramieniu.

Odwróciłem się zdziwiony, ale przed sobą ujrzałem twarz cale mi nieznana z wielkimi wąsami, draba cienkiego a wyrosłego jak tyka który uśmiechał się tylko figlarnie poglądając mi w oczy.

— Poznaj kiedyś mądry! — zawołał wesoło.

Ale i po głosie niepodobna mi było przypomnieć go sobie.

— No! koleżko? wszakże jesteś Poroniec-ki? prawda? ale ty się wcale nie odmieniłeś, a ja podobno znacznie, bo mnie starzy znajomi wszyscy nie poznają.

— I ja także — rzekłem smutnie.

— A siedzieliśmy na jednej ławie w szóstej... widzisz... byłeś u Kulikowej potem u Pocewiczowej, prawda? widzisz? no! zgaduj!

Mnie w myśli ni w pamięci nie było odgadnąć ktoby to był taki ten drab, który zresztą tak staro wyglądał jakby od piętnastu lat szkoły skończył. Nie miał téż wcale pociągającej powierzchowności i los widać po wyjściu ze szkół nie nadto był dlań przyjaznym, z odzieży acz starannie opiętej i obciągnionej, znać było jój zużycie, kołnierzyka koło szyi brakło, rękawiczki całe były poprute, buty wykoszlawione, a kapelusz pogięty i miejscami do żywego jak koń pozacierany.

Rozmowa nasza zaczynała niepotrzebnie uwagę otaczających zwracać, obawiałem się żeby znowu mojego nazwiska nie wspomniał, i odsunąłem się nieco odedrzwi, ale kolega poszedł za mną powtarzając:

— No! musisz sobie taki przypomnieć!

— Zdaje mi się że jeśli mi sam nie pomożesz...

— Przecież stałem u Horczyka, pamiętasz, na rogu małej Wiłskiej... no! Samuel...

Ale i po imieniu nie mogłem go sobie jeszcze przypomnieć, dopiero gdy mi przezwisko swe szkolne powiedział, przyszedł mi na pamięć z całą swą historją przeszłą, dosyć zresztą nie ciekawą. Dobre to był chłopiec, zdający, ale zawołany hulaka i niedający się ani karą, ani wstydem pohamować gdy chodziło o dogodzenie sobie; grosz cudzy i swój marnował, odzienie zastawiał, książki sprzedawał i już w szóstej klassie nie myślał o niczem tylko o kieliszku i ładnych twarzyczkach. Syn ubogich rodziców udawał zawsze bogatego, komponował sobie stosunki i pochodzenie, familią, wielkie w przyszłości nadzieje i w tego rodzaju kłamstwach, niczem niezbity z drogi choćby go i wyśmiano i przekonano że fałsz prawił, nazajutrz z nową beczką rozpoczynał w najlepsze.

— Cóż tu robisz, — spytałem, — panie Samuelu?

— Ja... jak widzicie... mieszkam w mieście dla przepędzenia czasu, — rzekł, — nie mam co robić... Lubiłem zawsze teatr, nieśczęsna jeszcze passja do jednéj z tutejszych aktorek... ot co mnie tu trzyma... Siedzę, bawię się, wiodeę życie wesołe... i przez amatorstwo... czy uwierzysz? czasem grywam w teatrze. Rodzice moi, dodał po chwili, chcieliby mnie ztąd wyciągnąć, dają mi folwark w Kowelskiem, ale co jabym robił w téj dziurze? nudy śmiertelne! wolałem zostać w mieście. Trochę mnie za to prześladują że się do ich woli nie stosuję, ale ja to heroicznie znosić umiem.

Wiedziałem zdawna jak mało można było dać wiary słowom Samuela, i nimo nieszcześcia mojego, trudno mi się było nie uśmiechnąć słysząc te słowa wyrzeczone z dobrą miną, przeciw którym świadczyły buty dziurawe i cała postawa.

— No! a ty? — zapytał, — a ty?

— A ja! jestem na bruku bez dachu i kawałka chleba! — rzekłem otwarcie.

— Jakim sposobem?

— Pozwól mi to zamilczyć, dość że jak mnie widzisz, nie mam gdzie przenocować i nie wiem co jutro jeść będę!

Samuel miał zawsze dobre serce, choć w postępowaniu najmniejszego nie okazywał rozsądku, poruszyło go to wyznanie niezmiernie.

— Nie pozwalasz, więc nie rozpytuję nawet, — rzekł prędko, — ale przecie koledzy jesteście, pozwólże sobie być pomocą... my ci tu coś znajdziemy, a naprzód... zaprosilibym cię do siebie.

Tu się zawahał nieco.

— Ale, — rzekł ciszej, — pocieszna historia, moje zwykłe mieszkanie na Kijowskiej ulicy na pierwszym piętrze restauruje się, ka-

załem porobić niektóre zmiany, stoję w téj chwili niezmiernie lichy, a raczej nie mam mieszkania, bo sam ulokowałem się u prezesa przyjaciela rodziców moich, ale służy moi których teraz niema w mieście, mają liche pomieszkanie i te gdybym ci niem mógł służyć, nim co obmyślemy...

To mówiąc biedny kłamca ujął mnie zaręce i uśmiechał się przynaglając abym się nim posłużył. Prawdę rzekłszy, nie miałem nic do wyboru.

— Aleś ty stał przed teatrem, przerwałem ci widowisko, — rzekłem.

— My dziś nie gramy, to jest, oni dziś nie grają, — poprawił się, — jestem wolny, małpy tam pokazują, ustąpiliśmy im na ten wieczór teatru, a ja widziałem to kilka razy. Proszę cię, chodźmy.

I wzięwszy mnie pod rękę, puścił się ze mną na małą uliczkę dobrze mi znaną, nie przestając po drodze zabawiać rozmową.

— Osobliwsza rzecz, że ty tak regularny i nieposzlakowany, jesteś w takim położeniu? co cię do tego doprowadziło? Co się dotyczy mnie, powiem ci że jestem najszczęśliwszy, niema w świecie życia nad życie artysty dramatycznego...

— Jesteś więc aktorem?

— Nie, to jest grywam, przez amatorstwo. Wiadomo ci że mam familję możną i wielkie stosunki, nigdyby na to nie pozwolili, kryję się, ale niekiedy występuję na scenę, w małych rolach choć na afiszach gwiazdkami mnie tylko oznaczają... Życie najrozkoszniejsze w świecie, — dodał, — kobiety wesołe, swobodne, miłe, mężczyźni przyjacielscy i dobrego humoru; — ciągle coś nowego, dramat nieustanny.

Gdy tak prawił, doszliśmy do lichego dworku na owęj małej uliczce w którym i za dawnych moich czasów zawsze się mieściły wszelkie do miasteczka przybywające towarzysztwa wędrujące, skoczki, akrobaci, mał-



py, przejeżdżający śpiewacy naśladowający słowika, młodzi koncertanci i w ogóle ci wszyscy którzy bez grosza jeżdżą i często furmanom nie mają czem zapłacić. Była to gospoda wszelkiego rodzaju biedaków utrzymywana przez znaną w miasteczku figurę oryginalną bardzo lichwiarza który z tych nieszczęśliwych nędzarzy ciągnął nielitościwe zyski. On za nich opłacał furmanów, kosztą występu, ubiory, najęcie sali, a potem z procentami po swojemu obrachowanemi, wyzyskiwał najczęściej w ten sposób, że gołym przyjechawszy odarty artysta od niego wyjeżdżał bez grosza. Trzy domy tego osobliwszego spekulanta który potrafił z nędzy najostateczniejszej zysk sobie wyciskać, stały w błotnistej uliczce, itak były urządzone, że w nich zawsze znajdowało się pomieszczenie dla przybywających.

Całe ówczesne towarzystwo dramatyczne mieściło się w nich spakowane w kilku, ciemnych izdebkach od dziedzińca, mały stały od ulicy jako zamożniejsi lokatorowie.

Dziedziniec pełen był bryk owych długich w których się przewożą menażerje i artyści, wozów z których pozdejmowano paki różnych nierczgatunkowanych rupieci i śmiecia. Towarysz mój przeprowadził mnie po kładkach i ceglach w głąb podwórza, potem wszedł na wschodki zewnątrz domu przyczepione, na drugie piętro, i otworzywszy drzwi które wprost z podwórza wiodły do owego mieszkania niby przez jego sługi zajmowanego, wszedł wraz ze mną do ciemnego schronienia gdzie musiałem chwilę stać w miejscu nie ruszając się póki nie rozpałił światła.

Gdy mały świeczki ogarek rozjaśnił wreszcie izdebkę, pokazało się żeśmy się znajdowali w bardzo nędznym alkiérzyku pod strychem, ozdobionym dwoma połamanemi krzeselkami i stoliczkiem, łóżkiem w największym nieładzie zostającym, i rozmaitemi sprzętami dla mnie nieznanego przeznaczenia. Na ścianach wisiała odzież z lekkiego ale jaskrawego materiału szyta najdziwniejszego kroju... wszędzie widać było nieład i ubóstwo.

— Jestto jakem ci mówił, — rzekł Samuel, izba moich ludzi ale się to porozłaziło... widzę że nieporządek wielki. No! siadaj! Ot, będziesz miał jakiegokolwiek przytulisko tymczasowo... radbym cię czem przyjął, ale tu nie nie mam, o wieczerzy jednak pomyślemy.

Tak byłem znużony żeś padł bezwładny na pierwsze krzesło i słabo mi się zrobiło. Postrzegł to mój towarzysz.

— Bieda! ty bo i nie bardzo zdrów jesteś, dodał, możeby doktora... my tu wszystko mamy pod ręką w tym domu.

Nie byłem w stanie mu odpowiedzieć, taka ogarnęła mnie bezsilność, a wylękły Samuel że sobie biedę napytał, pobiegł zaraz po lekarza który w tym samym dziedzińcu mieszkał na kredycie u gospodarza.

Otrzeźwiono mnie solami i znać domyślnie się żeś oddawna nie w ustach nie miał, bo mi przyniesiono ciepły buljon który nieco pokrzepił. Ujrzałem naówczas lepiej krząta-

jących się koło mnie, doktora już szpakowatego krągłego niemczyka z okularami na nosie, w podartym szlafroku który mi w oczy zaglądał pilno, i drugą jeszcze figurę z fajką w zębach dosyć oryginalną.

Jegomość ten miał na sobie węgierkę ze złotem szamerowaniem wytartą i oszarpaną, spodnie płócienne przytem, na nogach pantofle, szeroko wywinięte rękawy koszuli dobrze wysłużonej i beret axamitny na głowie obfitym włosem pokrytej. — Fizjognomja jego była wyrazista, ruchawa i dziwnie skłonna do przybierania najmniej zwyczajnych expressji, postać excentrycznie napuszczona i pocieszna. Łatwo mi było domyśleć się w nim jednego z aktorów przyjaciela pana Samuela.

— Widzę światło u ciebie, — mówił przybyły, — przeczuwam żeś w domu... nie na małpach, wchodzę i zastaję scenę z tragedji... piękny nieznajomy osłabły ze znużenia, nie przypuszczam głodu — lekarz troskliwie krzą-

tający się koło niego... ty nareszcie... Raczcie mi wytłumaczyć co to jest?

— Najprostsza rzecz w świecie, — odparł Samuel widocznie chcący się pozbyć przyby-  
sza dla którego jednak miał rodzaj uszano-  
wania, jest to mój szkolny towarzysz którego  
nieszczęśliwe okoliczności wymagające tajem-  
nicy pod gościnny ten dach zawiodły. Spot-  
kałem go pod teatrem... a że nie miałem co  
z sobą począć, tu go przyprowadziłem.

— A jeśli to jakiś podejrzany człowiek? —  
spytał cicho mężczyzna w huzarskim ubio-  
rze.

— Ale ja go znam i ręczę...

— Jak skoro znasz i ręczysz.. dobrze.. je-  
dnak powiedz co za jeden?

— Nieszczęśliwy! to dosyć! — odparł tra-  
gicznie Samuel.

— Nawet zawiele, — rzekł trzęsąc gło-  
wą mężczyzna w węgierce — a więcój co?

— Ja sam nie wiem.

— Tak jak ja! — dodał zawsze z najlepszym humorem, a serjo przybyły, — a zatem radźmy oba co z nim począć. Doktor poznał że mu potrzeba jedzenia, rzecz skończona, sprowadziłeś buljonu, bardzo dobrze, terazby może obmyślić gruntowniejsze jakieś lekarstwo... gdyby bifszyk lub zrazy? jabym nie był od tego także? butelkę piwa! co? jak ci się zda, są to medykamenta uniwersalne, których skutki nieraz mi się widzieć zdarzyło najszcześliwsze...

Niemiec który się przysłuchiwał i znać zrozumiał, rozśmiał się postępując do nich, ja tak byłem jeszcze zbity i nieprzytomny, żem słysząc całą rozmowę, siedział nie mając ani ochoty ani możności wmieszania się do niej.

Wtem otworzyły się drzwi i od progu dał się słyszyć głosik kobiecy wesoly i jasny.

— Pewnie już mój mąż tutaj, a ja go szukam wszędzie.

To mówiąc wchodząca, postrzegła znacznie obcego i ugrupowanych około siedzącego zamilkła i stanęła. Była to młoda jeszcze kobiecina, chuda, blada, delikatna, pięknych rysów, ale dziwnie zmęczonych i noszących ślady ciężkich przeżyć życia, na twarzyczce jej dwoje tylko oczów czarnych świeciły nadzwyczajnym blaskiem. Strój jej tak był prawie zaniedbany jak męża, bo na sobie nie miała nic prócz koszuli i narzuconego lekkiego przyodziewku, nogi bosa w pantofelkach, a włosy związane zaledwie i roztargane z boków zsuwały się na ramiona. Mąż dał jej znak, by milczała, a na widok nieznajomego, poprawiła instynktowo ubranie i spytała ciekawie:

— Co to jest?

— Jakiś bohater nieszczęśliwy! — szepnął mąż.

Nie mogąc się dopytać kobieta, przeszła po za węgierkę i szarpnęła pana Samuela, który jej coś pocichu włożył do ucha.

— A zatem posyła się po zrazy, kaszę i butelkę piwa, — rzekł przybyły. 7

— Zapomniałem pieniędzy! — rzekł cicho Samuel.

— Gdzie? — spytał drugi...

— Nie mam przy sobie...

— Ja także, ale to nie nie znaczy, kredyt mamy jeszcze do pewnego czasu... a zatem idę i Pawełka pcham.

Kobieta stała i wciąż wlepiając oczy we mnie, ciekawie badać się zdawała położenie moje co chwila było przykrzejsze, w innym razie nie mógłbym go wytrzymać i uciekł, ale tak byłem zdretniały i bezsilny, że mnie to już nie obchodziło.

Po odejściu węgierki, doktor ruszył także lekko się nam skłoniwszy widząc że na honorarja próżnoby czekał, a ja zostałem sam na sam z Samuelem i ciekawą kobieciną która powoli zbliżyła się do mnie ostrożnie.



— Co to panu jest? — poczęła nachylając się ku mnie poufale, — słaby jesteś?

Alem podniosłszy na nią oczy nie mógł odpowiedzieć.

— Odpowiedzże mi pan jak to było? — obróciła się do Samuela i poczęli z sobą szeptać, naradzać się, aż nareszcie kobiecina zniierzyszy mnie jeszcze wzrokiem po cichu się wysłiznęła.

Widziałem po twarzy towarzysza że mocno był mną skłopotany teraz gdy mu tak zesłabł i zaniemiał, a będąc sam na sam z nim, przemógłem się żeby przemówić do niego.

— Ja wam zawadzam, — rzekłem, — jeśli chcecie odejść.

— Dokąd? co? na to nie pozwolę! — zawołał powracając do swój fanfaronady dawny towarzysz, — jakkolwiek w téj chwili z powodu mojej familji która mnie chce zmusić głodem prawie do objęcia dóbr i zajęcia

się gospodarstwem w Kowelskiem, znajdujesz mnie w przykrem położeniu, zawsze mogę ci być użytecznym i nie chcę tak opuścić. Zresztą ci artyści których lubię i proteguję to naród poczeiwy, my ci tu coś obmyślimy, nie troskaj się proszę, ja cię biorę w moję opiekę.

Za powracającym mężczyzną w węgierce, który najdziwaczniej się krygował i przybierał postawę dramatyczną, wsunęła się teraz druga figurka nie mniej oryginalna, nie młody już mężczyzna w okularach mosiężnych, łysy, zgarbiony w szaraczkowym długim surducie, butach po kolana, z czerwoną chustką w ręku ciągnącą się za nim i każącą domyślać tabakierki. Ten przybiegł wprost do mnie, wziął świecę, podstawił mi ją pod nos i popatrzawszy chwilę, pokiwał głową.

— Co to jemu takiego?

— Tajemnica! — rzekł ów w węgierce.

Poczęli szeptać z sobą pocichu, ostatni

przybyły widocznie miał tu jakąś władzę gdyż rozkazywał i zdawali się go słuchać oba. — Nie wiem co tam postanowiono, ale mężczyzna w węgierce wyszedł i powrócił po chwili z butelką zieloną i kieliszkiem w ręku.

— Kropelkę, — rzekł do mnie nalewając, to nic nie zawadzi, zwilży usta, rozjaśni płuca, obudzi umysł, rozwiąże język, pokrzepi, spróbujcie.

Sam nie wiedząc co czynię, wypilem pół kieliszka przyniesionej wódki i istotnie rozjaśniło mi się w oczach. Towarzysze moi użyli tego samego lekarstwa wszyscy, poczynając od starego aż do Samuela który pił na ostatku.

Łysy usiadł zaraz na krzeselku naprzeciw mnie i wpatrując mi się w oczy począł mówić:

---

1871

Received of the Hon. Secy of the Navy  
the sum of \$1000.00 for the  
purchase of the U.S.S. Albatross  
for the purpose of the U.S. Fish Commission

Witness my hand and seal this 1st day of  
January 1871 at Washington

John A. Bland  
Secretary of the Navy

John A. Bland  
Secretary of the Navy

John A. Bland  
Secretary of the Navy

John A. Bland  
Secretary of the Navy

#### XIV.

**P**onieważ mnie nikt nie przedstawia, prezentuje się panu sam, antreprenier teatrów wołyńskich i podolskich, dyrektor towarzystwa artystów dramatycznych Jacek Mulka-Muikiewicz Palengowski, weteran sceny narodowej i uczeń nieśmiertelnego Bogusławskiego, z którym miałem zaszczyt grać na jednych deskach...

— A ponieważ skromność naszego dyrektora, antreprenera, reżysera i dobrodzieja, zapewne mu nie dozwoli, — przerwał mężczyzna w węgiecce, — przedstawić się w całym świetle i okazałości, niech mi wolno bę-

dzie dodać i to jeszcze, że jest razem autorem licznych powinszowań i strof do publiczności, i t. d. i t. d., bo liczba funkcji jego jest nieskończona, a pracę olbrzymie! Jak go widzicie zacny nasz pan Jacek mógłby już spocząć na laurach gdyby miał co jeść, ale że wstrzymać się od jedzenia bardzo trudno, a darmo nigdzie dotąd niema zwyczaju karmić zeschłych artystów dramatycznych, rad nie rad zbiera dalej laury, długi, kłopoty i pracuje na chleb powszedni tysiącznemi talenty jakimi go łaskawe obdarzyło niebo.

— Tak jest, nieszczęśliwy i od losu prześladowany młodzieńcze, obracając się do mnie dodał dyrektor, — pracuję do zdechu dla niewdzięcznych współbraci w Momusie i Talij i dla oziębłej publiki... Ale w zamian nie zechcecież nam zwierzyć się losów swoich? zkąd przybywasz? cóż się stało... Ej słuchaj! — dodał zmieniając głos i biorąc mnie za rękę, — mów otwarcie, goli jesteśmy, ale nie takie szatany za jakich nas po świecie mają... bieda biedę zrozumie.

— W dwóch słowach całe moje położenie, — rzekłem otwarcie ureszcie, — nie mam kąta ani przytułku, nikogo w świecie, ani grosza wkieszeni. Nieszczęśliwe wypadki o których zamilżyć muszę, wygnały mnie z domu gdzie dotąd miałem schronienie, będę pracował choćby z rydłem i siekierą.

— Doskonałe kwalifikacje ma na artystę: goły, sam jeden i desperat... a czytać i pisać?

— Ale to uczony człowiek całą gębą! — przerwał Samuel urażony tem że jego przyjaciela posądzano o niepiśmiennosc.

— Jak z nieba spadł! — zawołał dyrektor, ale dajmy mu spocząć!

— Przedewszystkiem dajmy mu jeść! — rzekł w węgierce mężczyzna — posłaliśmy po zrazy i butelkę piwa, połączywszy kredyt mój i Samuelka.

— Nie od rzeczy! potwierdził stary, — i ja trochę głodny jestem...

Na wschodkach téż dał się słyszyć chód Pawełka który wszedł z talerzami i miską otłuczoną niosąc strawę z blizkiej garkuchni, a butelka piwa papierem zatknięta wyglądała mu z kieszeni.

Pomnę ten cały wieczór, tak mi się dziwne jego postacie i świat dla mnie nowy silnie w pamięć wraził — posiliłem się kawałkiem chleba i milczący siedziałem przy ich wesołej wieczerzy, którą i pan Samuel niby żartem i dla towarzystwa tylko jako niepyszny podzielał.

Gdy się później rozeszli a my zostali we dwóch tylko, Samuel przypomniawszy sobie że przedemną utrzymywał iż stoi u prezesa, a to jest tylko tymczasowe mieszkanie jego ludzi, zapowiedział mi że dla mego towarzystwa zanocuje ze mną. Nie chciałem przyjąć łóżka które mi ofiarował i położyłem się w kącie na przyniesionej słomie, a gdy nazajutrz zbudziłem się, było już dobrze po południu, a w izbie nikogo.



Zostawiony sam sobie miałem czas zastanowić się nad położeniem mojem, ale środków wybrnięcia z niego nie mogłem znaleźć w zbolałej głowie, pragnąc tylko śmierci i końca utrapionego życia...

Nad wieczór przyszedł stary pan Jacek sam, na ten raz w fartuchu zawałanym farbami gdyż przystawkę jakąś właśnie malował, zobaczyć co się ze mną dzieje, widząc mnie siedzącego w kącie na moim barłogu, zbliżył się do mnie z twarzą pełną pocziwój litości.

— Słuchajno waćpan, — rzekł, — pogadajmy z sobą szczerze, coś to zbroił takiego? przyznaj się? nie zabiłeś przecie? nie ukradłeś?

Spojrzałem mu w oczy dziwnie, a widząc w nich oburzenie, pochwycił mnie za rękę i dodał:

— Jakaś kobieca sprawka... rozumiem, gdzie djabeł nie może babępośle .. stare dzie-

je! Ale to boli, boli i zaskorupieje! a żyć i jeść potrzeba... co myślisz robić?

— Niewiem jeszcze.

— Cóżeś robił dotąd?

— Byłem nauczycielem prywatnym...

— Otóż to jest, łatwo się domyśleć, była panienka w domu, zwąchali się państwo, i bieda, tatko wypatrzył... tak? nie?

Milczałem .pomieszany.

— Coś pewnie w tym rodzaju, — dodał — nie dopytuję, ale co myślisz? co?

— Jeszczem nie przyszedł do siebie...

— A jeśliby w waćpanu ochota się znalazła do naszego swobodnego życia? he? możebyśmy z sobą się porozumieli... Między nami mówiąc, ja wykształciłem już ze stu znakomitych artystów nie licząc suflerów, maszynistów i dekoratorów których wyuczyłem także i dziś mają chleb i sławę... mam passję zajmować się kształceniem młodzieży... gdy-

byś chciał? Zawód trudny, talent rzadki, wymagania wielkie, ale przy głodnym żołądku i dobrych chęciach co niepodobnego? Ja sam wszystko winienem sobie, bo nieśmiertelny Bogusławski który był moim przyjacielem, już innie wziął gotowego i dojrzałego... byle chęci! możesz zostać znakomitym artystą nawet! masz fizys przyzwoitą, czytać i pisać umiesz! możesz zaraz rozpocząć od lokajów i tłumu... zawsze to kawałek chleba, a jeśli ci się trzeba ukrywać, nigdzie lepiej jak u nas...

— Dobrze, dobrze, — rzekłem, — ale dajcie mi zebrać myśli, odetchnąć!

— Zbieraj! oddychaj! swoboda zupełna... nie słusznieszego, — dodał stary. — Otpatrz na Samuela, między nami mówiąc, urwipołec, talentu żadnego, a że w mojem towarzystwie niedostawało artysty, już na chleb zarabia i kto wie? może się na czarne charaktery wyrobi... Waćpan miałbyś role drugich kochanków...

Widząc że spuściłem głowę, stary dorzucił spiesźnie.

— Ale nie nalegam, miej czas do namysłu, tymczasem ci jeść przyślę... a potem zobaczymy.

Jakoż Pawełek przyniósł mi znowu jadło jakieś, które zgłodniały pożarłem po zwierzęcemu nie wiedząc nawet czem było. Pod koniec mojego obiadu, ze śpiewką na ustach wpadł Samuel.

— Brawissimo! — krzyknął w progu, — posilasz się, doskonale, z siłami powróci spokój duszy i desperacja opuści. Ale podziękujże Opatrzności, żeśmy się wczoraj spotkali i odrazu trafiłeś na port zbawienny, pod gościnny dach pana Jacka. Już jest mowa o tem żeby cię wziąć do towarzystwa naszego, o co się staram mojem i wpływy. Świeżo osierocili nas ucieczką swą dwaj zdatni artyści, uchodząc pieszo do Białej-Cerkwi, tak że trudno jest coś większego przedstawić, a mamy wielkie zamiary.

To naleganie ze wszech stron przykrzyło mi się, ale Samuel nie postrzegając wyrazu

twarzy z jakim je przyjmowałem, mówił dalej:

— Ja ci powiadam, niema życia jak artysty... swoboda, wesołość, kobiety śliczne i pocziwe... trochę się z sobą kłóć, ale gdzież się one nie kłóć?... aktorowie choć do rany, słowem raj powiadam ci ziemski... Zbytku nie ma, czasem nieco dokuczy niedostatek ale to soli życiu dodaje... przerywa jego monotonią. Ja na przykład, mógłbym śmiało mieć po uszy wszystkiego, gdybym się zgodził zamieszkać na wsi i objąć dobra w Kowelskiem, ale za nic nie porzucę tego zabawnego trybu życia. Ale, — dodał ciszej, — potrzebuję cię przestrzedz, że oni tu nie znają mojego położenia, familji i stosunków, udaję przed nimi biedaka, dla rodziców!! rozumiesz... Nic nie wiedzą!

— I grywasz? spytałem.

— To jest, — rzekł — mało co, bo znowu zaprzęgać się do pracy co mi? kocham się w Antosi... młodej córce p. Jacka z drugie-  
*Resztki życia. T. III.*

go małżeństwa, dla zbliżenia się do niej dźwigam to, i podobam sobie w tem życiu... ale gram tylko aby niby do trupy należyć!

Niemal cały wieczór gadał mi o sobie coraz inaczéj Samuel, aż nareszcie jął się uczyć jakiejś roli, i opuścił mnie samego dając czas do namysłu — wyszedłszy na próbę do pana Jacka...

---

## XV.



Wcale nie do smaku mi był ten rodzaj życia którego próbki miałem przed sobą i pragnąłbym był inny sobie wyszukać, ale to przeznaczenie co mnie już dało najdziwniejszych przejść skosztować, zinuszało teraz zaprzędz się w jarzmo najprzykrzejsze. Nie powiem żebym jak inni pogardzał temi ludźmi w których i serce pocziwe i wiele znalazłem dobrych przymiotów, ale pomimo zalet, lekkość ich, nieopatrzność, nieustanne spory, raziły mnie i odstręczały.

Byłyto jeszcze czasy owe o których wspomina Fredro:

Gdy na jednej scenie  
Dziś klaskano Barbarze, a jutro Syrenie.

Probowałem wymknąwszy się na drugi i trzeci dzień, znaleźć sobie gdzie cichą jaką pracę i schronienie, ale zmuszony kryć się, nie mając znajomych i opiekunów, wszędzie nieprzełamane znajdowałem trudności. — Z głodu niemal musiałem przystać na wszystko i przyjąć ofiarowane mi miejsce przez pana Jacka.

Przez te dni poznałem bliżej ich wszystkich i zdumiałem się wesołości z jaką dźwigali brzemie nie lekkie nędzy, lekceważenia ludzi i trudnych z sobą samymi stosunków. — Nic biedniejszego nad stan ich wymyślić niepodobna, sam dyrektor i antreprenier stary już dosyć pracował za dziesięciu, oszczędzając grosza i zastępując wszystkich kogo mu brakło. Miał do utrzymania na głowie żonę niegdyś znamienitą piękność dziś otyłą i rozgrymaszoną kobietę która z niczego rada nie była i nieustannie narzekała, dwie córki wli-



czbie których jedną ukochał kolega Samuel, dziewczęta miłe ale trzpiotowate bo młode których musiał pilnować, syna z pierwszego małżeństwa ulubi onego przezeń, a na nic nie przydatnego dla braku pamięci, a co najgorsza całe towarzystwo któremu nigdy dogodzić nie było podobna.

Przy każdym rozdaniu ról rozpoczynała się walka o ich wybór, na każdej próbie łączywały spory i kłótnie, a często w chwili występywania na scenę, ktoś otwarcie podnosił chorągiew buntu... Pan Jacek niczem nie zrażony z równą odwagą i zręcznością malował przystawki, toczył balaski, kleił kurtyny i walczył ze swymi artystami. — Przywykły wszystkiego się spodziewać, zawsze był panem siebie, a że z wielką liczbą ludzi miał w życiu do czynienia, wiedział jak do kogo zagadać. Nie mieszał go brak rekwizytów w chwili wystąpienia ani rozdanie artysty, w zrozpaczonym razie sam zawsze gotów był moździerzem zastąpić złote naczynie, a kochanka własną naprędce zmetamorfozo-

waną postacią. — Grał jak Bóg dał, ale nie było roli którejby się w potrzebie nie podejmował, i w masce gotów był tańczyć balet za piętnastoletnie dziewczę. Przyjęcie publiczności także gonię mieszało, oklaski, śmiech i sykanie, przyjmował ze stoicką obojętnością, ukłonem i niekiedy konceptem trafny rozbrajał najnieprzychylniejsze dla siebie usposobienia.

Ile siły moralnej zużył ten niepospolity człowiek na swoje dyrektorstwo i coby on na innem w świecie stanowisku mógł dokazać — trudno sobie wyobrazić. — Nie miał on chwili spoczynku i czem się trzymał, jest dla mnie tajemnicą największą: jadł mało, nie pił chyba z konieczności, spał ledwie parę godzin, nieustannie znosił skargi i narzekania, łajania i najdziksze ku sobie wymierzone zarzuty, pracował głową i ręką bez wytchnienia, a tak był rzeźwy i spokojny, jak gdyby najszcześniejsze prowadził życie.

Żona jego, ex-piękność, grywała dotąd ko-

chanki, choć dawno roli téj porę przeżyła i powinna ją była zdać na córkę Antosię, ale mąż nie mógł jéj tego wyperswadować. Córkę obie wychowane za kulisami, nie były bez talentu, szczególniej ta w której się kochał Samuel, ale dla nich występowanie na scenie było nie zadaniem sztuki tylko środkiem przypodobania się, i drogą do romansowego jakiegoś zamażpójścia.

O tem tylko marzyły i mówiły jak na nie z krzeseł lub łoży patrzył ten i ów, jak tamten klaskał i szeptał, a recytując role swoje, zapominały o ich znaczeniu szukając oczów zwróconych na siebie.

Obu nie uśmiechało się wcale zamażpójście za artystę, o świetniejszych marzyły losach, a wierzyły jeszcze nieboraczki, że miłość dokazuje cudów, i z desek teatralnych prowadzi na trony salonów!!

Nie będę tu wacpanu opisywał całego składu naszego towarzystwa dosyć licznego, głównemi jego postaciami była rodzina pana Ja-

cka, ów w węgierce z wásami wesoły jego-  
mość z żoną zowiący się Halt, kilku jeszcze  
ludzi, a na ostatku kolega mój Samuel któ-  
rego położenie wcale było odmienne od tego  
co on o niem rozpowiadał. Przedemną uznał  
za potrzebne udawać syna zamożnej rodziny,  
plótł o mieszkaniach, o prezesie, o sługach,  
ale w istocie będę klepał przyczepiwszy się  
do teatru, który z niego żadnego nie miał  
pożytku i dziury nim zatykał. Talentu nie  
miał żadnego na scenie, a choć w życiu nie-  
ustanną grał komedję, ta go wcale nie przy-  
gotowała do ról które mu dawano. Źle się u-  
czył ich na pamięć, dodawał swoje nietra-  
fnie i obawiano mu się powierzyć cokolwiek,  
bo po kilkakroć był przyczyną niepowo-  
dzenia.

Duszą towarzystwa którego miałem zostać  
członkiem, choć mi się nigdy nie śniło być  
artystą i najmniejszego w sobie ku temu nie  
czułem powołania — był jak widzicie stary  
Jacek... on i Samuel wychwalający swobodę  
żywota aktorów, nakłonili mnie do przyjęcia

warunków i zapisania się w poczet towarzystwa nie mniej biednego jak owo Scarronowskie... Ale cóż miałem począć ze sobą? — ani się ukryć, ani zarobić na chleb nie umiałem, z obojętnością więc zgodziłem się na co chcieli, i prosiłem o wyznaczenie mi roli. — Pierwszy to raz w życiu przyszło mi o zadaniu tego rodzaju pomyśleć, a przywykły do sumiennego spełniania obowiązku, naśmieszyłem ludzi kłopotząc się wielce o pojęcie i oddanie charakteru który mi wypadł z losu.

Jacek po mojem usposobieniu sądząc, przeznaczył mnie do tak zwanych czarnych charakterów... Pierwszy mój występ nie był bardzo szczęśliwy, starałem się być naturalnym i umiarkowanym, co sprawiło że połowa publiki uznała mnie zimnym.

Pan Jacek niezrażony przyszedł do mnie tegoż wieczora.

— Chociaż nie mieliśmy powodzenia, — rzekł mi, — ale już ja widzę talent... będzie dobrze! ręczę! Tylko na Boga, na co wacpa-

nu ta naturalność? natura mospanie jak powiadał nieśmiertelny Bogusławski, dobra na ulicy, ale na scenie ludzie nadnaturalnych rzeczy potrzebują... Musisz waćpan przesadzać tak jakbyś krzyczał mówiąc do głuchych. Gdybyśmy mieli do czynienia z bardzo ukształconymi ludźmi, możnaby jeszcze być prawie naturalnym, ale z taką mieszaniną jaka do naszego teatru uczęszcza, cała rzecz krzyczyć, rzucać się, i jak najmniej do człowieka być podobnym. Oni tu nie po to przychodzą aby widzieć co codziennie w domu mają, ale żeby skosztować innéj potrawy, czegoś nadzwyczajnego. Dlatego mało jest ludzi którzyby poszli na dobrą komedję, choćby komik był najdoskonalszy, a na dramat najlichszy miejsc braknie. Ale to rzecz naturalna zresztą, zmęczy się człowiek powszednią pracą i biegiem życia jednostajnym, rad by choć z za kurtyny inny świat zobaczyć i wyższych ludzi i szlachetniejsze uczucia i coś niezwyčajnego.

Przyznać téż potrzeba, że teoria pana Jacka przez jego współtowarzyszów ściśle była wykonywana, i świat który się na scenie przedstawiał, nie miał najmniejszego podobieństwa do tego, który o białym dniu widzimy. — Halt szczególnieź odznaczał się przesadą niekiedy tak dziwną, że choć śmieszna bywała, obudzała oklaski i porywała widze niechybnie.

Strój jego, mowa, ruchy, wszystko było dziwaczne i spotęgowane, a czy grał dramat czy komedję, zawsze był pewien że je utrzyma swym krzykiem i konwulsjami, z których potem pierwszy drwił ocierając pot z czoła za kulisami.

Ciężkież to zaprawdę było życie! a chleb gorzki i biedny, długów mieliśmy nieskończone mnóstwo, lichwa gospodarza pożerała pana Jacka, nieustannie uczyliśmy się rzeczy nowych, a lada wieczorek w miasteczku, opustoszał teatr tak że często zamykać go musiano, bo ławki tylko nas słuchały. — Na-

próżno zmagano się na wymowne apele do publiczności, do téj światłéj, łaskawéj, protegującéj sztukę i talenta publiki, do lubowników teatru, do mecenasów sceny... próżno wymyślano tytuły najdziwaczniejsze, obiecywano bengalskie ognie i dekoracje nigdy nie widziane jeszcze... oprócz kilku miłośników płci pięknej, mało kto przychodził do teatryku naszego.

Jeżeli jest nędzne i utrapione życie, to takiego nieszczęśliwego artysty na prowincji, który w złowrogiéj życia godzinie połakomił się na chleb teatralny... nie mówię o niedostatku bo to rzecz najpospolitsza, najmniej może ciężka do zniesienia, a tylu go cierpi w milczeniu, ale dla człowieka z uczuciem i instynktem prawdy i sztuki co za męczarnia być narzędziem do wypoczwarzania życia, stać się karykaturą dobrowolnie, grać rzeczy bez żadnej wartości, w ostatku cierpieć od nieustannie podrażnionych namiętnostek które ocierają się o siebie i bojują i sporzą i walczą o bańkę mydlaną.



Prócz mnie com sobie z góry powiedział że cierpieć będę i milczyć nie podnosząc głosu, wszyscy codziennie obarczali dyrektora wyrzutami, własne dzieci, żona, przyjaciele..., najlichsi komparsi, każdy chciał pierwszej roli jak w życiu; upatrywał w towarzyszach chęć szkodenia sobie, a ztąd nieustanne waśnie i spory. Ta powiedziała coś na tamtą, ów obrócił się do innego w sposób obrażający, dano rolę pierwszego drugiemu i t. d. i t. d., a nie było dnia bez sprawy kryminalnej, narzekañ, groźby oddalenia, czasem nawet rozstania artysty, który nazajutrz powracał. Mężczyzni nienawidzili się dostatecznie, ale kobiece właśnie przechodzą wszelkie pojęcie... słupiałem patrząc jak po serdecznych pocałunkach wieczornych nazajutrz oczy sobie wydierały i znów potem przysięgały przyjaźń wiekuistą... Świat to był dla mnie niepojęty, a po tych kilku leciech spokoju i wytchnienia zepchnięty znowu w warstwę od której odwykłem, cierpiałem męki czyścowe.

Ale z czemże się człek nie oswaja? powoli i ja przywykłem do tego co mnie otaczało, przestałem się dziwić i biedne życie nasze zdało mi się tylko szerszym obrazem tego co gdzieindziej maskuje się i przykrywa.

---

## XVI.

**T**owarzystwo nasze składało się z Jacka Mulki Mulkiewicza zarazem dyrektora, antreprenera, reżysera, niekiedy suflera, maszynisty, dekoratora, rekwizytora, lampucera i w pilnej potrzebie grywającego ojców, żony jego Marcybelli Mulkiewiczowej występującej w roli kochanek, ciotek, dam poważnych i królowych; z dwóch córek pięknej Antosi i Michalinki subretek i dziewcząt wiewskich, niekiedy młode role męzkie przyjmujących z wielką publiczności uciechą, z obojga państwa Hali grywających co tylko było potrzeba, z Samuela który niewiele był użyte-

czny, ze mnie i kilku jeszcze osób dodatkowych... Tłumu i wojska w liczbie trzech do pięciu ludzi dostarczała ulica, i zawsze znajdowali się amatorowie gotowi przywdziać pancerze, ująć lance i wystąpić szeregiem na deski po dwa złote od głowy.

Teatrzyk drewniany maleńki, lichy oświecony, niezbyt opatrzony w dekoracje, był placem naszych popisów. Pomimo niedostatku środków, Mulka nigdy nie cofnął się przed najstraszniejszym zadaniem, i porywał się na sztuki z walecznością bohatera. Żadna dlań nie była niedostępną, a w razie niedostatku osób, trudności dekoracyjnych i kostiumowych radził sobie z Napoleońską odwagą. Obcinał całe akty, przemieniał płęć, niepotrzebne wykreślał osoby, sceny eliminował, dodawał śpiewki, wnętrza pałaców przerabiał na skaliste okolice, słowem często trudno było znajomą rzecz poznać w tym nowym produkcie twórczej jego ręki, która z materiału wszelakiego umiała dla siebie wyrobić i stosowny i dostępny program wi-

dowiska. Ogień bengalski grał tu wielką rolę i obrazy ostatnie zawsze się nim kończyły, używaliśmy także burzy i piorunów obficie, a nic nas nie kosztowały owe szumne tytuły do których taką miał wprawę Mulka, że niekiedy zdumiewać się i do rozpuku śmiać przychodziło gdy afisz układał.

Każdy akt dramatu miał u niego osobne nazwanie, a najczarniejsze zbrodnie i najokrutniejsze poczwarne zjawiska najupodobańszych materjałów do intytulacji dostarczały.

Nie wiem czem potrafiłem zaskarbić sobie łaski jego, ale po kilku miesiącach próby i nowicjatu bardzo mnie polubił, zapraszał, posługiwał się mną, zwierzał z swój biedy, i w ostatku rzekł mi raz gdyśmy sam na sam byli.

— Już teraz na pewno ręczyć mogę, że waćpan masz istotny talent... ja się na tem znam, bom ich tysiące wykształcił, porozumiejmy się... podajmy sobie ręce, będzie chle-

ba kawałek... rozpatrz się około siebie...  
zróbmy umowę.

— Masz mnie pan i bez kontraktu.

— Ale mi cię kto odmówić może...

— Znasz przecie żem nie łakomy...

— Tak, ale wolałbym być pewniejszym...  
Popatrznio waćpan na Michalinę i Antosię,  
dziewczęta ładne, możeby ci się która podo-  
bała, jabym nie był od tego.

Roześmiałem się z boleścią na te słowa.

— Jestem żonaty! — rzekłem pocichu za-  
mykając mu usta.

Mulka porwał się z siedzenia chwytając za  
głowę.

— Doprawdy! i drapnąłeś od żony... ro-  
zumiem! no! cicho!... sza!

— A w Antosi, — dodałem, — kocha się  
na zabój Samuel.

— Ja to bardzo dobrze wiem, ale znać go nie chcę, szalawiła i do niczego, dziewczyna mi potrzebna, a jemu codzień co innego w głowie... z tego nie będzie nic...

Uważałem że po téj rozmowie poufnéj wiele straciłem u pana Jacka, który przestał na mnie rachować od dnia do dnia spodziewając się że mu się wyśliznę.

Michalinka dobre dziecko dosyć mię przyjaźnie wprzód widziała i zdawała się do bliższych wyzywać stosunków, ale po rozmowie mojej z ojcem, postrzegłem że coś jéj powiedziano, bo się smutna oddaliła ode mnie.

Żyłem ze wszystkimi dobrze, a jako neutralna istota używany byłem przez wszystkich do robienia często potrzebnej zgody, i nie ciążyła mi nędza, bo inne cierpienie do-  
tąd silniejsze nad wszystko, myśleć o niej nie dozwalało. W tym samym domu najałem sobie izdebkę od dziedzińca pod strychem, i w niej ukryty spędzałem długie często dnie

na uczeniu się ról i czytaniu. Pan Jacek przez ciąg swój artystycznej po świecie pielgrzymki zgromadził na nieustanną potrzebę nowości, dosyć znaczny repertoar sztuk oryginalnych i tłumaczonych w drukach i rękopismach, a choć z tych bazgranin pełnych omyłek i pokreślonych czerwonym ołówkiem jego niemiło było czytać, musiałem zabijać nudę przerzucając coraz nowe dramatyczne utwory. Nie wiem jakim przypadkiem na dnie kufra, znalazły się niemieckie oryginalne dzieła Schillera, tłumaczony przez Wielanda Shakespeare i kilka sztuk Lessing'a na nich przypomniałem sobie moję zaniedbaną niemczyznę. Mimowolnie wciągnąłem się w życie artysty, pokochałem sztukę i począłem pojmować jakie ona stanowisko mogłaby sobie wyrobić w życiu społecznem. — Cierpienie wewnętrzne zmuszało mnie szukać silnego zajęcia jako lekarstwa na nieznośną niepewność, znalazłem je w myśleniu i czytaniu. Samuel napróżno usiłował mnie wciągnąć w swój rodzaj życia goniący za wrażeniami



i płochy, ale przeszłość poważniejsza, nie-  
 szczęście nie dały mi w nim zasmakować. —  
 Lichy artysta, łakomym on był na życie, któ-  
 re bardzo pojinował poziomo; — usiłował  
 zabawić się, odurzyć, wcisnąć między ludzi i  
 wcale nie dbając o jutro dzisiejszy dzień za-  
 wsze opłacał przyszłością, byle chwilowemu  
 dogodzić upodobaniu.

Choć wiedział bardzo dobrze że mu wie-  
 rzyć nie mogę, zawsze przedemną grał rolę  
 dziedzica wielkich włości wyemancypowane-  
 go zpod władzy rodziców dla czarnych o-  
 czów Antosi, kłamał stosunki swe, a czas  
 spędzał po bilardach i cukierniach lub na pod-  
 daszu naszego domu.

Żyliśmy tak więcćj roku i ja jużem był  
 przywykł do mojej doli zaczynając nabierać  
 smaku do gry, bo mimowoli gorąco mi się ro-  
 biło, gdy najmniej zdolna ocenić mnie publi-  
 czność, poklasnęła wyrazowi wyszłemu z ust  
 moich — gdy mi wypadło grać rolę kochan-  
 ka w *Kabale und Liebe*. Jakkolwiek tłuma-

czenie tego arcydzieła liche było, a otaczający mnie artyści nie dopomagali wcale do przejęcia się położeniem, pochwycony zostałem poezją tego dramatu, przebijającą się przez niedołężność przekładu stylem Schillera, jego namiętnością i gorączką i gotując się do roli zapomniałem z kim i dla kogo grać ją miałem, myśląc tylko o jej znaczeniu i trudności.

Jacek naturalnie przysposobił afisz niezmiernie pociągający w którym i nieśmiertelnego umieścił Schillera i pochwałę sztuki i dla każdego aktu osobne a straszliwe tytuły, tak że nad wszelkie nadzieje w ową pamiętną dla mnie niedzielę przed otwarciem kassy w przysionku teatru nie było już biletów do sprzedania. Na parterze przystawiano krzeselka, sztukowano ławki, i gdy zasłona podnieść się miała, Mulka zacierając ręce oświadczył, że na szpilkę miejsca niema w teatrze.

— Tylko mi grajcie jak się należy, a dam wieczerzę Baltazara! — zawołał do nas.

Nie zważając na to że moją Luizą była dziewczeczka która głębszego uczucia pojąć nie mogła i biła się z wyrazami miłości dla siebie niezrozumiałej, przejęty byłem wychodząc w pierwszym akcie jój widokiem, a niesłychanym cudem stało się z nią co czasem dzieje się z ludźmi w stanowczych chwilach życia. — Antosia nagle stała się artystką i poznać jój nie mogłem takie uczucie głębokie, prawdziwe, rzewne objawiła w scenie ze mną pierwszego aktu. Jak się to stało, nie wiem, ale wyszedłszy za kulisy tak byłem przejęty że usiadł nie chcąc rozmową pustą zgasić w sobie roztlonęj iskiej.

Zapomniałem o wszystkim co mnie otaczało, gdy po krótkim przestanku przedzielającym dwa akty, Jacek dał mi znać że pora wychodzić do sceny z Ledy Milford..... W téj saméj chwili kiedym z ukłonem wsuwał się wymawiając wyrazy.

— *Przebaczysz mi pani jeśli jój przerywam (a)*

---

(a) Wenn ich sie worin unterbreche, gnädige Frau...  
A. II. 3 scena.

otworzyły się drzwi łoży dolnej dotąd niezajętej i oczy moje spotrzegłszy z niewyraźnym przestraczem wchodzącego do niej Prezesa i żonę moję Ludwikę...

Można sobie wyobrazić położenie w jakim się uczułem, przestraci mój, boleść, przywiązanie, pomieszanie wybuchające zarazem w chwili, gdy chłodny miałem dworskim tonem rozmówić się z faworytą...

Słów mi na ustach zabrakło, osłupiałem... W tejże chwili oczy mojej Ludwiki z łoży padły na scenę, krzyk dał się słyszyć przeraźliwy i Prezes skoczył na ratunek córki groźnem zmierzwszy mnie okiem. Zamieszanie z powodu wypadku tego przerwało na chwilę przedstawienie, a ja nie mogąc zdać sobie sprawy z tego co czyniłem, poleciałem przez kulisy, roztrącając wszystkich i łamiąc drzwi pozamykane ku korytarzowi który do łóż prowadził. Prezes ze służącym i kilku przyjaciółmi wyprowadzali właśnie Ludwikę z łoża gdy w ubiorze aktorskim, blady, nieprzy-

tomny, przyskoczył do nich... Żona moja spostrzegła mnie i ruszyła się wyciągając ręce ku mnie, ale w tejże chwili Prezes stanął między nami groźny i trzęsący się od gniewu wołając na policję aby ujęła warjata...

Oparty o ścianę zaniemiałem — koło mnie przesunął się pospiesznie jój ojciec ciągnąc za sobą dziecię wpół omdlone i błagające łitości... uczułem szelest jój sukni gdy mijali mnie, dłoń jój dotknęła mojej ręki, a usta cicho szepnęły:

— Cierpliwości i wytrwania! uciekaj! uciekaj!

Potem wszystko znikło, a groźba uwięzienia zmusiła mnie co najprędzej szukać schronienia i oddalić się z teatru.

Słyszałem w sali wrzawę niezumierną i krzyki, musiano spuścić korytnę, dyrektor sam nie wiedząc co się stało, bronił się w sposób który mnie potępiał, oświadczając że artysta przedstawiający Ferdynanda, podlegał

czasem napadom jakiegoś szalu... Potwierdzony przezeń Prezesa wykrzyknik, czynił mnie obłąkanym, i w rzeczy postępowanie moje wielce prawdopodobnem to czyniło... Myśl że mnie do domu warjatów zamknąć mogą, przeraziła więcéj niż groźba śmierci; jak stałem więc, nie wracając już do mieszkania, puściłem się w miasto, byle się gdziekolwiek ukryć tymczasowo.

Szczęściem znane mi były wszystkie wchody i wychody, tak że niepostrzeżony wyrwałem się tyłem i przez ogrody i płoty wybiegłem aż za miasto. Tu dopiero postrzegłem że ubiór mój, brak pokrycia, narażały na nowe niebezpieczeństwo, że potrzeba było koniecznie powrócić do izdebki i zrzucić odzież dziwaczną a przywdziać jak najpospolitszą. Musiałem więc wychnąwszy nieco udać się do naszej gospody i postanowiłem zobaczyć z panem Jackiem. Gdym się pocichu skradał do mego mieszkania, zdala już posłyszałem hałas wielki; drzwi od mojej izby stały otworem i światło w nich kazało się domyślać

że się tam właśnie współtowarzysze moi zgromadzili; w progu stał pan Jacek i dowodził coś z wielkiem poruszeniem. — Nie widząc nikogo obcego któryby mnie mógł zastraszyć, podszedłem pocichu dla zbadania co się tam działo... i dosłyszałem następujące dowodzenie dyrektora:

— Dawno pewny byłem że coś przeskrobał i że go ścigać muszą, a to nic innego nie dowodzi tylko że trafił... panicz postrzegł w loży tych co go znali, krzyk się dał słyszyć i drapnął... tyleśmy go widzieli, a prawdę powiedziawszy, żał mi — gdyby dłużej był kształcił się pod moim kierunkiem, mógł zostać znakomitym artystą.

— O tem ani wątpię, — rzekłem, — że rady pańskie wielce pożytecznymi być mogły.

Okrzyk dał się słyszeć.

— Otóż i on! oto on!



— Cicho! na Boga! — zawołałem — przychodzę tylko zabrać moje rupiecie, zrzucić strój teatralny i pożegnać was.

— Ale cóż to było? — zakrzyknął Halt, jego żona, Samuel i pani Mulkowa.

— Co było, z tego tłumaczyć się nie mogę.

— Kompromitacja teatru ogromna! zgubiłeś nas WPau! — zawołał dyrektor, — kto teraz pójdzie na najpiękniejszą sztukę, gdy myślą że na drugim akcie się urwie; pieniędzy im nie oddałem bom temu nie winien; zastąpiłem sam Ferdynanda... ale sykano!

— Darujcie mi, — odezwałem się, — to było nad siły moje, nie mogę i nie powinienem się tłumaczyć, ale wam ciężarem dłużej nie będę. Bądźcie zdrowi, mnie los gna dalej, nic wiem dokąd.

Stary się udobruchał.

— Skorom pieniędzy nie oddałem, to się nie gniewam, — rzekł, — z publicznością wie-



dząc jak postąpić, wszystko posztukować można, ale mów co ci się stało? kto była ta dama która krzyknęła i omdlała.

— Żona moja! — szepnąłem mu na ucho.

— Takcm się domyślał! Będą cię ścigać i prześladować, dłużej tu być nie możesz, policja już się dowiadywała o waćpana, dam ci list do mojego współnika w B.... i koniec. Nie ma ci tu co popasać.

Wszyscy patrzeli na mnie z niezmierną ciekawością, a Antosia zbliżyła się z uczuciem i w cichości uścisnęła mi rękę; widziałem łzy w jej oczach.

— Kto wie! — szepnęła — godzina dłużej, a byłabym może artystką!!

I oddaliła się milcząca z głową spuszczoną. Zrzuciłem z siebie odzież coprędzej, stary dał znak towarzystwu aby odeszło, a sam na sam ze mną pozostał.

— Więc to był ojciec jej i ona! — rzekł

zafrasowany, — możni ludzie widać, nazywają go prezesem! Pocóż ci było takiój sobie biedy napytać? Ale mówią że ona jest panną? tak słyszałem.

— Małżeństwo nie zostało uznane.

— Niema co robić! musisz się waćpan wynosić, masz jaki grosz? spytał.

Miałem trzydzieści złotych całego majątku...

— Ja wprowadzie raz o piętnastu wyszedłem z Warszawy szukać szczęścia na prowincji, i to w dziurawych butach, ale waści jeszcze coś dodać muszę — rzekł pocziwy stary, sięgając po sakiewkę. — W B.... znajdziesz nie tak dobrane towarzystwo ale cię tam przyjmą ochotnie za poleceniem ode mnie.

Spiesznie napisał list i nim godzina upłynęła związawszy mój węzełek, udałem się nocą ku miejscu przeznaczenia, potrzebując się za ciemna z miasta wyśliznąć. — Gdym gospo-

dę naszą opuszczał, Antosia jeszcze raz zaszła mi drogę i pożegnała słowy Schillera, na które odpowiedzieć jój nie mogłem, tak prędko znikła mi z oczów.

„Cóżem ja winna, że ten sen był tak piękny a... przebudzenie tak straszliwe!“ (a)

---

(a) Dein kind kann ja nicht dafür, dass dieser Traum so schön war, und... so fürchterlich jetzt das Erwachen.

II Akt, V scena.

---

...the ...  
...the ...  
...the ...


...the ...  
...the ...  
...the ...

...the ...  
...the ...  
...the ...

...the ...  
...the ...  
...the ...

...the ...  
...the ...  
...the ...

## XVII.

ie będę ci opowiadał drobnostkowie dalszych kolei życia mojego, dodał po przestanku i namyśle Poroniecki, ale nie mogę pominąć głównych wypadków, bo chcę ci się nietylko zwierzyć, ale użyć cię za pomocnika w wielkim zamiarze, który mnie tu sprowadził.

Widzisz sterałem tak wiek mój włączając się po świecie, a kto wie czy nakoniec nie stanę się godnym téj ręki którą mi wyrwano; mogę być bogatym, niezmiernie bogatym i wówczas nie wątpię, że sierota nieznany stanie się bardzo zacnym człowiekiem.— Uśmie-

chnął się: — Gdyby mi się skarb o którym marzę zdobyć udało, stałoby go na nas obu, ale jam już za stary i takiego jak ty potrzeba mi sprzymierzeńca aby go opanować.....

Oktaw słuchał nie rozumiejąc, a nieznajomy tak ciągnął dalej:

— Ale naprzód muszę ci dokończyć historii tego głupiego życia mojego. Powlókłem się więc do B.... z pożegnaniem Antosi, dziwnie brzmiącym w uszach moich, z przestraszaniem aby mnie zdradzonego na drodze gdzie nie pochwyciono. Szczęściem nikt podobno ścigać nie myślał i drugiego dnia przybyłem do małej żydostwem zaludnionej miejsciny. Był tam teatrzyk także na wielkie zjazdy i jarmarki utrzymywany, a resztę roku obwożony przez entrepreneurkę po kraju.

Miałem w myśli prosić ją o przytułek, ale pomiarkowawszy że mnie rychlej na teatrze niż gdzieindziej szukać będą, wstrzymałem się od tego, zaszedłem do gospody i postanowiłem inny sposób zarobienia na chleb wy-

naleźć. W dobrą godzinę nastęrczono mi dla jakiegoś kupca napisanie listu w obcym języku, potem znalazły się inne tego rodzaju korespondencje, utrzymywanie ciąg handlowych, uczenie dzieci, i w parę tygodni nie obawiałem się umrzeć z głodu. Płacony byłem bardzo lichy, używany ostrożnie, ale miałem co jeść i nie walałem się na ulicy, więcéj doprawdy nie śmiałem żądać.

Rok cały przesiedziałem w téj błotnistéj kryjówce i byłbym tam może pozostał na zawsze, gdyby nie nadjechał pan Jacek Mulka, który mi przedstawił że talent mój marnuję, że powinienem powrócić do teatru, i nie namówił do puszczenia się z sobą w podróż do Odessy z polskim wędrującym teatrem... Zapomniałem był o Antosi i jéj pożegnaniu ze mną, licha mieścina nudziła mnie, uczucie niebezpieczeństwa przeszło, postanowiłemjechać, warując sobie tylko bym w mieście gdzie mnie spotkał ów wypadek występować nie był obowiązany.

Znowu więc jakaś fatalność rzucała mnie na deski teatralne... Nie zdawało mi się że-  
 bym się wielce przywiązywał do towarzy-  
 szów mojej doli, a jednak gdy z téj pustki po-  
 wróciwszy znalazłem się znowu w izdebce  
 mojej na poddaszu, gdym zobaczył Halta,  
 Antosię, Michalinkę, starą Marcybellę i sza-  
 ławiłę Samuela, łzy mi się zakręciły w o-  
 czach. — Nic tak nie wiąże jak przecierpia-  
 na razem niedola, — szczęście rozprasza i  
 czyni trudnymi ludzi, cierpienie ich spaja i  
 przywiązuje. — Do miłego wrażenia jakie u-  
 czynił na mnie po pustce w B.... powrót do  
 miasteczka które prawie za rodzinne przy-  
 wykłem uważać, przyczynił się i nadspodzia-  
 nie odebrany list od Ludwiki, pierwszy jaki  
 od niej po wygnaniu z ich domu otrzymałem...  
 i ostatni.

Przyniósł mi go stary oficjalista któremu  
 był powierzony i podjął się wziąć odemnie  
 odpowiedź. Ludwika zaklinała mnie na wszy-  
 stko abym z wiarą i ufnością w Bogu cier-  
 piał i czekał, donosząc że ojciec dotąd trwa



w uporze i małżeństwa uznać nie chce, ale prześladować mnie nie myśli chyba w razie gdybym mu się nastręczył sam lub poczynił jakie kroki; zapewniała o tem że nigdy nie zapomni o mnie, ubolewała że się stała przyczyną cierpień dla mnie, których końca przewidzieć nie może. List jój napełnił mnie smutkiem i jakąś nadzieją, nabrałem otuchy i sił na wytrwanie jak życie może długiego oczekiwania. — Odpisałem jój gorąco, szeroko, łzawo...

Tegoż roku ojciec ją wywiózł za granicę.

My ruszyliśmy z wędrowną naszą trupą ku Odessie, grywając po jarmarkach, zatrzymując się po miasteczkach, pielgrzymując jak niegdyś pierwsi aktorowie Grecji na wózku, który wiozł razem dramat i komedję, farsę i tragedję Shakespeara.

Coraz bardziej przywykałem do tego życia nędznego które ma swoje uciechy i dni jasne, nie mogąc się nadziwić niewyczerpanej czynności pana Jacka, i powołany będąc

do nieustanego godzenia sporów jakie codzień prawie między członkami towarzystwa wynikały.

Pocziwa Antosia też którą kochałem jak siostrę, swoim humorem wesołym i szczerotą jakąś przywiązywała mnie do siebie. Z pociechą ujrzałem rozwijający się w niej talent który rozkwitł owego wieczora w pierwszym akcie Schillera Intrygi i Miłości, a teraz zdawał się z każdym dniem rosnać. Dla mnie także pozbawionego innego celu w życiu, kształcenie się było potrzebą i gorączkowym zajęciem. Ucząc się roli, zapominałem o téj głupiej jaką grałem sam na świecie.

Wyprawa nasza nad wszelkie powiodła się spodziewanie, w Odessie jeszcze naówczas nowój dla kraju naszego i pónętnój, znaleźliśmy mnóstwo z Podola, Ukrainy i Wołynia przybyszów, a teatr nasz zyskał ich względy.

Tak znowu jakoś rok upłynął i skazówka zegaru posunęła się bliżej końca. Na nie-szczęście rozwijającój się pomyślności nasze-

go wędrownego teatru, tamę położyła nagła prawie śmierć poczciwego pana Jacka, który na drodze do kraju zachorował z przeziębienia, śmiał się z choroby swojej do końca, dostał zapalenia płuc i zmarł nam w nędznej gospodzie na gościńcu. Pochowaliśmy go na biednym cmentarzyku wiejskiem, a sami po kilku dniach powlekliśmy dalej nie wiedząc kto go zastąpi. Pani Jackowa zostawała po nim dyrektorką i chwyciła rządy wraz ze mną przybranym opiekunem rodziny...

W tydzień po pogrzebie jużśmy się musieli śmiać i wyłamywać na scenie która pełna jeszcze była pamiątek po niezmordowanym Mulce, a nie czas było nosić żałobę i załamywać ręce, które na chleb zarabiać musiały.

Nie wiem czy mi WPan uwierzysz gdy mu powiem że większą część życia mojego spędziłem tak na scenie, nie pragnąc zmiany, nie widząc potrzeby dobijania się czego innego. Kilkanaście lat nie miałem wiadomości od niej i lży zaschły w głębi serca, a jam się

zupełnie na niedbającego o jutro odartego aktora przerobił; pomagałem wdowie w jej ciężkiem gospodarstwie, wieczorami uczyłem Antosię która chciwie pragnęła się wykształcić i wreszcie stała się téż ulubienicą publiczności, codzień więcéj przywiązując się do tego dziecięcia, które mi się serdeczną i gorącą odpłacało przyjaźnią.

Samuel mój towarzysz po kilkakroć łączył się z nami i od nas odłączał, pociągała go Antosia, zrażała jej obojętność, przechodził do innych dyrekcji i wracał ku nam gdy tam skłócił, ograł i zadłużył, — ale niewielkiego wszędzie był pożytku. Jak wielu innych w życiu powszednim niekiedy miał iskry niby świętego usposobienia, grał komedję bardzo dobrze, na scenie był sztywny, wymuszony i chłodny; w żaden sposób nie można było przekonać go że o deskach należy zapomnieć wychodząc na nie, i nie ostudzać myślą widzów i oklasków. Za kulisami bywał wyśmienity, jak skoro podniosła się kurtyna, stawał nieznośny.

Nie będę cię nudził historją naszego towarzystwa które powoli przybierając nowe żywioły, tracąc stare, całkiem się przeistoczyło, wdowa choć stara wyszła za mąż za daleko od siebie młodszego odartusa, Michalina zaślubiła oficera od piechoty i z nim na wózku jedno-konnym powędrowała w dalekie kraje nad Wołgę, Antosia wreszcie który się nadarzył przyzwoity chłopiec, uściskawszy mi rękę w milczeniu, zapłakała i stanęła do ołtarza... Powoli poopuszczali mnie znajomi i towarzysze, przywlekli się nowi, ale już w sercu nie było sił tyle by się do nich przywiązać.


W téj walce o chleb powszedni nędzny i spleśniały, z ludźmi cierpieniem starganymi i zgnębionymi, z nadzieją próżną usłyszenia jedyne go głosu jaki mnie mógł pocieszyć, wałęsałem się lata długie z końca w koniec kraju, na lichych scenach jarmarcznych, przed publicznością pogardliwą wylewając gorycz która innie truła. — Życie wyrobnika może jest słodsze a pewnie spokojniejszym...

a cóż rzecz o wyższych nieco pragnień i pojęć człowieku zaprzężonym w to jarzmo i zmuszonym zaprzec się nieraz przekonań własnych dla przypodobania niewykształconemu tłumowi? Nieraz obmywając róż i bieli-dło z twarzy zżółkłej i pomarszczonój, z nie-mi zmywałem gorące łzy które wypalały mi oczy.

Nakoniec przyszła siwizna i chłód jesieni życia, zubożenie na wszystko, niesmak i pogarda ludzi... Otoczony gwarem, stałem jak otłuczony posąg wpośród żywych ludzi, milczący, zastygły, bez wiary, bez nadziei, bez celu... Głos którego oczekiwałem od Ludwiki, ani razu już nie doszedł uszu moich, świat murem stanął między nami i przedzielił nas od siebie.....

---

## XVIII.

 sił w ostatku zabrakło; te udawane namiętności jak prawdziwe pożerają człowieka, nie można bezkarnie przechodzić przez ognie i chłodnym pozostać. Sama walka, szyderstwo, niepewność chleba jutrzejszego, nędza malowana i szychem strojna, łamią powoli najtwardszą duszę i ciało... uczułem i ja w końcu że dalej śmiercią przypłacić przyjdzie twardą pracę której nikt wkoło nie widział i nie rozumiał. Nie miałem obojętności pana Jacka, jego wesołej rezygnacji i codziennie obrzydliwszą stawała się dla mnie scena, która naigrawała się wewnętrznej boleści złamanego życia. Postanowiłem opuścić teatr,

choćby pójść za jałmużną, dziwne myśli snuły mi się po głowie, aż dnia jednego wziąłem kij i puściłem się w pielgrzymkę daleką. Bytność w Odessie podała mi pierwszą do tego ideę, widziałem odchodzące statki i powiedziałem sobie patrząc na ubogich pielgrzymów jadących do Jeruzalem, że i ja mógłbym o chlebie i wodzie dostać się tam, a może z głodu i pragnienia o ucisku dusznym zapomnieć. Tą drogą też udałem się na wschód do Ziemi Świętej... i mówić ci nie będę com przecierpiał w podróży, bo może nie dałbyś mi wiary jak ja sam nie łacnobyś uwierzył, że bezkarnie tyle przetrwać można, z niewielkim sił zapasem.

Nie myślałem powracać do kraju wcale, i umieściłem się był w jednym z katolickich klasztorów na wschodzie jako braciszek, a możebym był umarł tam przywdziawszy suknię zakonną, gdyby najdziwniejszy w świecie wypadek nie rozbudził we mnie namiętności o której istnieniu w sobie nie wiedziałem nawet.



Na drodze do Jerozolimy w klasztorze samotnym, który jak wyspa wśród oceanu stoi na skale tuląc w sobie garstkę chrześcijan otoczonych niewiernymi, nocując w ubogiej celi, zdziwiony zostałem niepomału usłyszawszy z ust starca zgrzybiałego mowę naszą, która całą mi przeszłość moję na myśl przywiodła.

Przywlókł się do mnie niedobitek ów życia, zgarbiony, o kiju, aby raz jeszcze posłyszyć dźwięk macierzystego języka co mu pieśń śpiewał u kolebki...

Długi pobyt na wschodzie już go był prawie oduczył języka, ale w nim jeszcze odmawiał pacierze, śpiewał pieśni i marzył wygnaniec na skalistych wydmach Judei o zielonych dolinach naszych...

Lat swoich doliczyć się nie mógł czy nie chciał, to pewna że w ostatnich czasach po kassacie zakonu jezuitów u których był brackim, udał się na wschód i składem najprzykrzejszych okoliczności od dnia do dnia nie-

mał przeciągając pozostał złamany latami, chorobą, niedołężnością która się czepia jak mech starości, wszystko z dziś na jutro odkładając, wówczas gdy najinniej jest jutra.— Starzec ten teraz czekał aby muzbrzękłe nogi cokolwiek odeszły chcąc się puścić ku starym progom domu w którym już nie miał niko oprócz powietrza i wody. Ale nogi mimo ziół które pił i którymi je okładał, spuchłe były i jeśli jedna z nich odeszła, druga nabrzmiwała.

Istota to była pobożna i żyjąca w Bogu tylko i modlitwą, istny obraz anachorety starych wieków dla którego świat nie miał powabu, ni życie przyjemności. — Nie mogąc spać wstawał z dniem i szedł czuwać na modlitwie do południa prawie, pokrzepiał się lekką strawą, a mało czasem spocząwszy na ławie cmentarniej pod kasztanami, wchodził znowu do kościoła i śpiewał a modlił się do późnej nocy, tak że często zamykający kościół, szukać go gdzie musiał w zakątku ukrytego aby wyciągnąć i do klasztoru odpro-

wadzić gdy klęceniem tak się znużył że wyprostować się nie mógł.

Tu znowu pacierze wieczorne zajmowały go nim usnął na twardem łożu na chwilę. Nie wiedzieć jak i czem krzepiła się tam dusza w tem ciele wyschłem, zwiędłem i niepotrzebującym zda się pokarimu.

Kubek wody krynicznej, kawałek chleba, trochę jarzyny w wodzie ugotowanej, czarna kawa czasem i sucha figa lub daktyłów parę utrzymywały go dostatecznie. Mięsa nie jadał nigdy.... Z ludźmi był łagodny i powolny, nie umiejąc się pogniewać ni zniecierpliwic, znosił wszystko nie zmarszczony, pokornie, a w długich podróżach nieraz litość i poszanie u niewiernych wymógł siłą ducha i zwycięstwem nad sobą.

Oblicze staruszka było miłe, uśmiechnięte, oczy niebieskie głęboko wpadłe i blade, usta zawsze wesołe, twarz pomarszczona skórą tylko pokrywała kości uwydatnione tak że po nich każdy pręg żyłki przebiegającej był zna-

czny; każda wklęsłość czaszki gładkiej widoczna. Odrobina siwych włosów u dołu, koronowała tę głowę piękną, ale martwą barwą i kształtem do zeschlłej mumji podobną. Nosił suknię zakonu swojego czarną, pas podobny, kij prosty, biały, na nogach sandały tylko, kapelusz słomiany i w słotę szeroki płaszcz czarny z sierści wielbłądzięj jakiego wszyscy używają na wschodzie. Calem jego mieniem był stary brewiarz, rożaniec, wytarty puglares i torebka płócienna połatana w której chleb lub daktyle nosił.

Usłyszawszy polską mowę której był dobrze zapomniał między obcemi, starzec rzucił mi się na szyję i ze łzami uściskał; chciał do mnie przemówić, ale mu wyrazów nie stało co chwila izmusił mnie tylko wysłuchać pacierza który kląkłszy czysto i bez omyłki z uczuciem wielkiem, głośno wymówił przedemną.

Taką była pierwsza nasza znajomość w celi dalekiego monasteru wschodniego, z człowie-

kiem który... ale dowiesz się zaraz... Pierwszego dnia oderwał nawet parę godzin od modlitwy dla mnie, i kazał sobie opowiadać dzieje życia w naszym języku, którym nie mogąc mówić, rozumiał go jednak wybornie. Dźwięk téj mowy budził w nim jakieś wspomnienia, bo słuchał go jak muzyki w upojeniu rozkosznem, a niekiedy rozplakany ścisnął mi ręce i błogosławił wpatrując się w twarz której rysy przypominały mu znać znajomych. Zbliżenie się do człowieka co świeżo kraj opuścił, odświeżyło w nim jakieś wspomnienia zastygłe, które żywo do serca przypłynęły, powoli przypominał sobie wyrazy i sam słuchając mnie, mówić zaczął, a gdy przyszło się rozstać, zaklął na wszystko święte, abym z nim dłużej pozostał.

Całe dni spędzałem w kościele z nim lub na podwórzu klasztoru otoczonym murem i ocienionym platanami, kasztanami, kilką palmami i cyprysami. Siadaliśmy wówczas na ławie kamiennéj w krynicy mruczącéj i

w cieniu długie prowadziliśmy rozmowy. — Starzec codzień się więcej przywiązywał do mnie; chciał nawet pod moją opieką dokraju powracać.

— Niechbym ja jeszcze, — mówił głosem drżącym, odetchnął tamtem powietrzem i popatrzył na ziemię naszą, a kości tam moje złożył przy ojcach.

Ale czuł że sił mu nie stawało, i tak wybierając się ciągle siedzieliśmy w owym klasztorze ruszyć się nie mogąc.

Jakby to silne wrażenie którego doznał wstrząsło nim do głębi, braciszek ożywiony silniej z razu, potem widocznie podupadać począł i zaniemógł zupełnie na nogi tak że bez mojej pomocy już i do kościoła przejść nie był w sile.

Widzieliśmy wszyscy spiesznemi kroki przybliżającą się śmierć której on nie zdawał się dostrzegać... Czuwałem nad biednym nocami i dniami odmawiałem z nim modlitwy.

Z kilku słów wprzód wyrzeczonych wi-  
dać było że chciał mi jakąś powierzyć taje-  
mnicę, ale się ciągle wstrzymywał, dopiero  
ostatniego wieczora gdy już igłos mu zesłabł  
i siły coraz gwałtowniej opuszczać zaczęły,  
kazawszy wyjść z celi wszystkim, tak począł  
mówić do mnie.

— Wiecie, żem był braciszkiem niegodnym  
możnego i wielkiego zakonu... ruina jego jak  
żywot świat napełniły rozgłosem... Padliśmy  
jak wszystko na świecie rozsypuje się i upada.  
W chwili zagłady nikt się jój nie spodziewał,  
nikt w nią nie wierzył, schwyciła nas jak  
śmierć gdyśmy tylko o życiu myśleli. Nie potrze-  
buję ci objaśniać mocy potęgi zakonu, środ-  
ków jakimi rozporządzał... byliśmy istotnie  
bogaci bardzo, a skarby mnogieróżnemi tytuły  
przekazane nam i powierzone, spoczywały  
ukryte... o tych przełożeni ledwie i starszy-  
zna wiedziała. W Kaniowcach gdzie mnie ów  
wyrok śmierci pochwycił...

— W Kaniowcach? — spytał Oktaw cie-  
kawie.

— Tak jest, — mówił dalej Poroniecki, — w tych samych Kaniowcach.

— Zakon miał prawie wszystko zebrane czem prowincja tutejsza rozporządzała, summy zapasowe, depozyta, ofiary różne i grosz oszczędzony... W chwili kassaty niepodobna było pochwycić wszystkiego, starszyzna więc postanowiła skarbiec w bezpieczne przeniósłszy miejsce, zakryć go od oczów ludzkich pozostawując straży losu.

My braciszkanie nic o tem nie wiedzieliśmy, aż gdy nas nocą jedną do rektora zawczwano i pod przysięgą kazano naprzód upewnić że tajemnicy nikt nie wyda do lat pięćdziesięciu i to chyba na łożu śmierci jednemu zaufanemu człowiekowi. Skarbiec ten naówczas miał się już stać własnością szczęśliwego znalazcy któryby go odkrył z warunkiem aby część jego przynajmniej na ofiarę Bogu poświęcił...

Tak mówił starzec, a choć zobojętniały i postarzały, chciwem uchem chwytalem wy-



razy jego bojąc się by mu śmierć nie przerwała zwierzenia które mi chciał uczynić — takie wrażenie na nas wszystkich czyni ten nieszczęsny grosz...

Opowiadał mi potem jak z oczyma zawiązanymi przez rektora zaprowadzeni zostali do sklepionej izby i z niej wory złota i srebra przez trzy noce w dziesięciu przenosili z zawiązanymi znowu oczyma do drugiej tajniejszej kryjówki, którą potem starannie zamurowano i zarzucono ziemią tak, że istnienia jej nikt się domyśleć nie mógł. — Staruszek mniéj więcéj zdał sobie sprawę z miejscowości w której stary skarbiec był położony, i z drogi którą odbywał do kryjówki mającéj się zamurować; za świeżéj pamięci nakreślił drogę, wyliczył kroki i zostawił mi objaśnienie, jak mnie się zdawało naówczas, dostateczne do odkrycia zatajonego skarbu którym rozporządzenie mi przekazał. Ale ich było dziesięciu tak samo użytych i tyleż wiedzących, mógł więc jeden z nich powrócić na miejsce

odkryć loch zamurowany i unieść co się w nim znajdowało!

Nad ranem tego dnia kiedy mi oddał planik i opowiedział o skarbie, staruszek skończył spokojnie wobec całego zgromadzenia i pochowaliśmy go na cmentarzyku w cieniu starych cyprysów, a ja z umysłem dziwnie rozerwanym, puściłem się w dalszą podróż pragnąc powrócić do kraju.

Skarb ten mnie niepokoił, palił mnie, musiałem wreszcie wstrzymywany jakby namiętnie tysiącem przeciwnych okoliczności, nazad do kraju dla poszukiwania go powrócić...

— Odkryłeś pango? — spytał Oktaw ciekawie.

Poroniecki uśmiechnął się.

— Zaczekaj, — rzekł, — nie koniec na tem jeszcze... Wiesz, żem wyszedł o kiju a pielgrzymował o żebraniu, posłuchaj wprzód jak los dziwnie ulitował się nademną, tro-

chę zapóźno przypomniawszy sobie że żyłem. Już napowrót jadąc do kraju, przybyłem do Kairu, gdzie dla braku grosza musiałem się jakiś czas zatrzymać, tu mnie schwyciła febra i rzuciła o ziemię pozbawionego wszelkich środków nie tylko ratowania się ale utrzymania życia.

W najostateczniejszej nędzy gdym nieprzytomny leżał w karawanseraju, anglik jakiś wziął mnie litościwie w opiekę i z podróżnej apteczki ratował chiną, której znaczna doza, przerwała utrapioną chorobę. Nie dość na tem wypytawszy co za jeden byłem, zostawił mi dostateczną sumkę na powrót do Europy. Z tem, nie wiedząc nawet imienia dobroczyńcy dobiłem się do Francji, ale na brzegu powitała mnie znajoma nędza której już tylekroć doznałem, żem się jęj przestał obawiać. Musiałem pracować w porcie aby na kawałek chleba zarobić, ale powrót znowu był utrudniony. Dziwnym trafem poznałem się tu z wdową po oficerze poległym w Algierze, a

· pochodzącym z naszego kraju, który toż samo co ja nosił nazwisko.

Nie miałem bliskich krewnych jak wiecie, nie wiedziałem nawet zkąd mógł pochodzić, ale pocziwa stara kobieta oplakująca zgon męża dotąd, uparła się koniecznie widzieć we mnie powinowatego nieboszczyka, upatrywała nawet jakieś w rysach naszych podobieństwo, w obyczajach i postaci. — Wzięła mnie więc w swoją opiekę, a że nie miała dzieci, zmusiła niejako bym pozostałość którą odziedziczyła po mężu, przyjął od niej jako spadek po krewnym. Własna jej majątność aż nadto wystarczała na życie. Opierałem się temu z razu nie chcąc zabierać co domnie w żaden sposób należeć nie mogło, ale w ostatku musiałem uleść jej woli, a chęć powrócenia do kraju przynagliła mnie do tego. Tak, Bóg jeden wie jaką drogą, na obcej ziemi, z nędzarza stałem się jeśli nie majątnym, to przynajmniej niezależnym człowiekiem. Majątek mojego imiennika nie zbyt wielki wynosił przecie kilkadziesiąt tysięcy franków, z te-

mi już stanąłem tu w Kaniowcach. Możesz miarkować, — dodał Poroniecki, — jak niecierpliwie pobiegłem w ruiny klasztoru z planikiem braciszka i pamięcią pełną danych mi przezeń skazówek.

— I... przerwał Oktaw.

— I dotąd grzebię się w gruzach napróżno — rzekł z westchnieniem Poroniecki, — ale teraz gdyśmy już we dwóch... bo chętnie cię do podziału przypuszczam — lepszą mam nadzieję... Robota, poszukiwanie, wymaga tajemnicy, potrzebuje pomocnika, oddawna kogoś mi tu należało przybrać, a wolę waćpana niż innego.

Wiesz więc tajemnicę moją, — odezwał się wyciągając doń rękę, — nie potrzebuję cię prosić o milczenie gdyż słowo nieroztropne obu nas może w trudnem położeniu postawić i pozbawić tego czego szukamy... Dla was, — rzekł, — to jeszcze coś więcej niż dla mnie — cóż mi przyjdzie ze skarbu? jak

go użyję? czy mi on zwróci stracone lata, przecierpiane bole i zmarnowaną młodość...

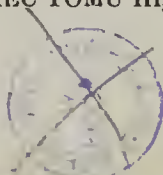
— Ale wróciwszy do kraju nic żeś się pan nie dowiedział o żonie...

— Dotąd... tak jak nic, — rzekł wstrzymując się jakby pragnął coś mówić i nieśmiało wyznać Poroniecki, — a kto zna serce ludzkie, — dodał, — pojmie że się obawiam śledzić i pytać ażeby więcéj nie boleć.

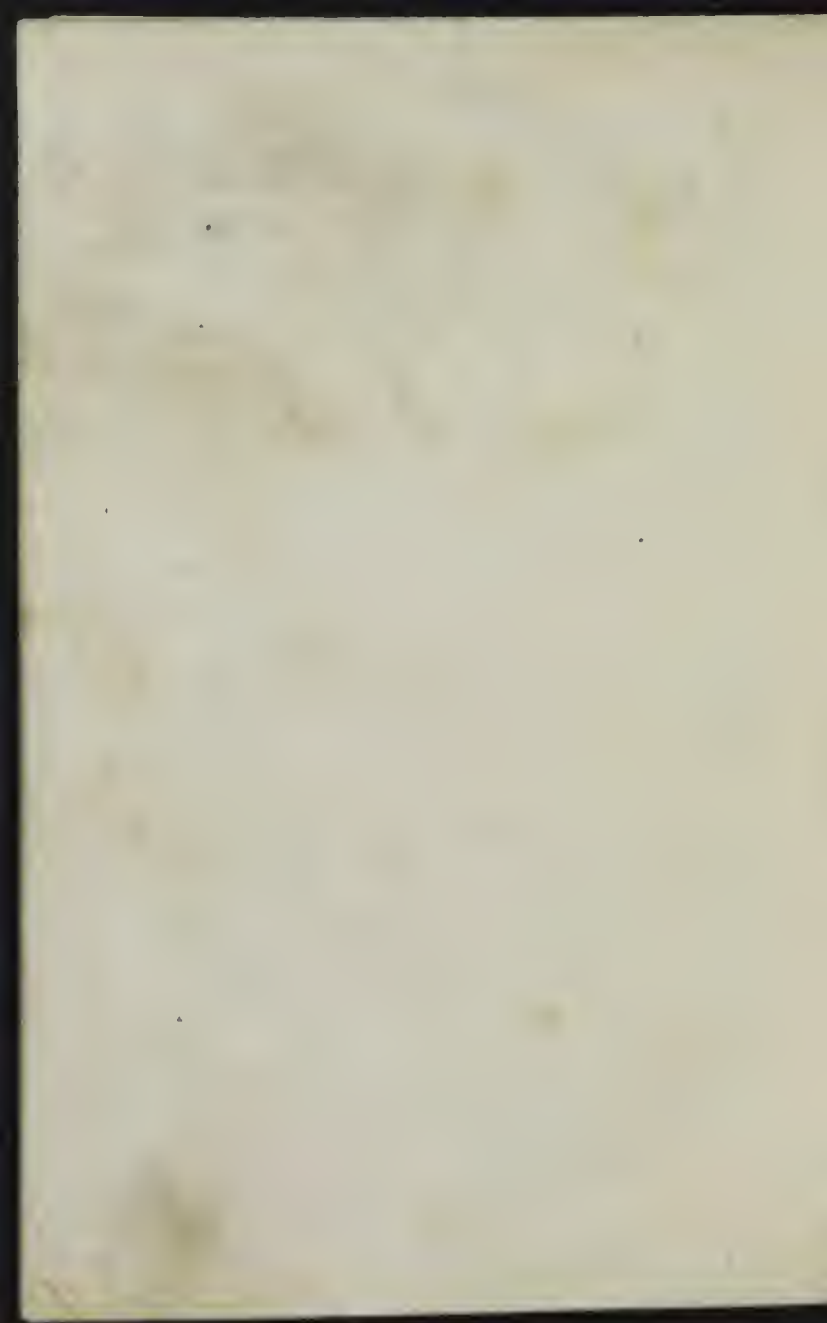
Na téj rozmowie brzask dnia ich zastał, a Oktaw postrzegłszy się za późno że o niego w domu niespokojni być mogą, pożegnał gospodarza.

— A zatem, — dokończył z dziwnym wyrazem stary aktor, — jesteśmy sprzymierzeńcami i odbędziemy razem wyprawę do Kolchidy... ale milczenie! — tajemnica i cierpliwość!

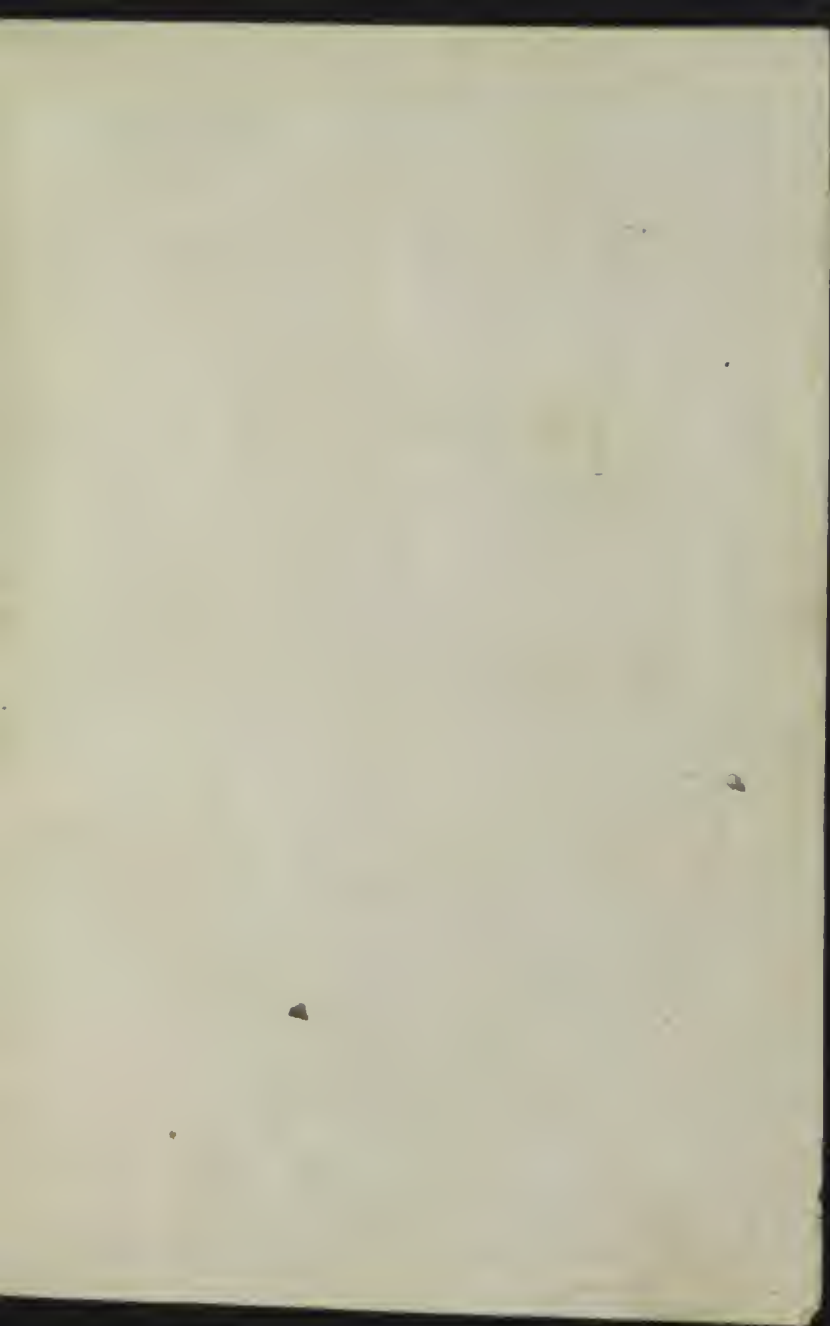
KONIEC TOMU IIIgo.

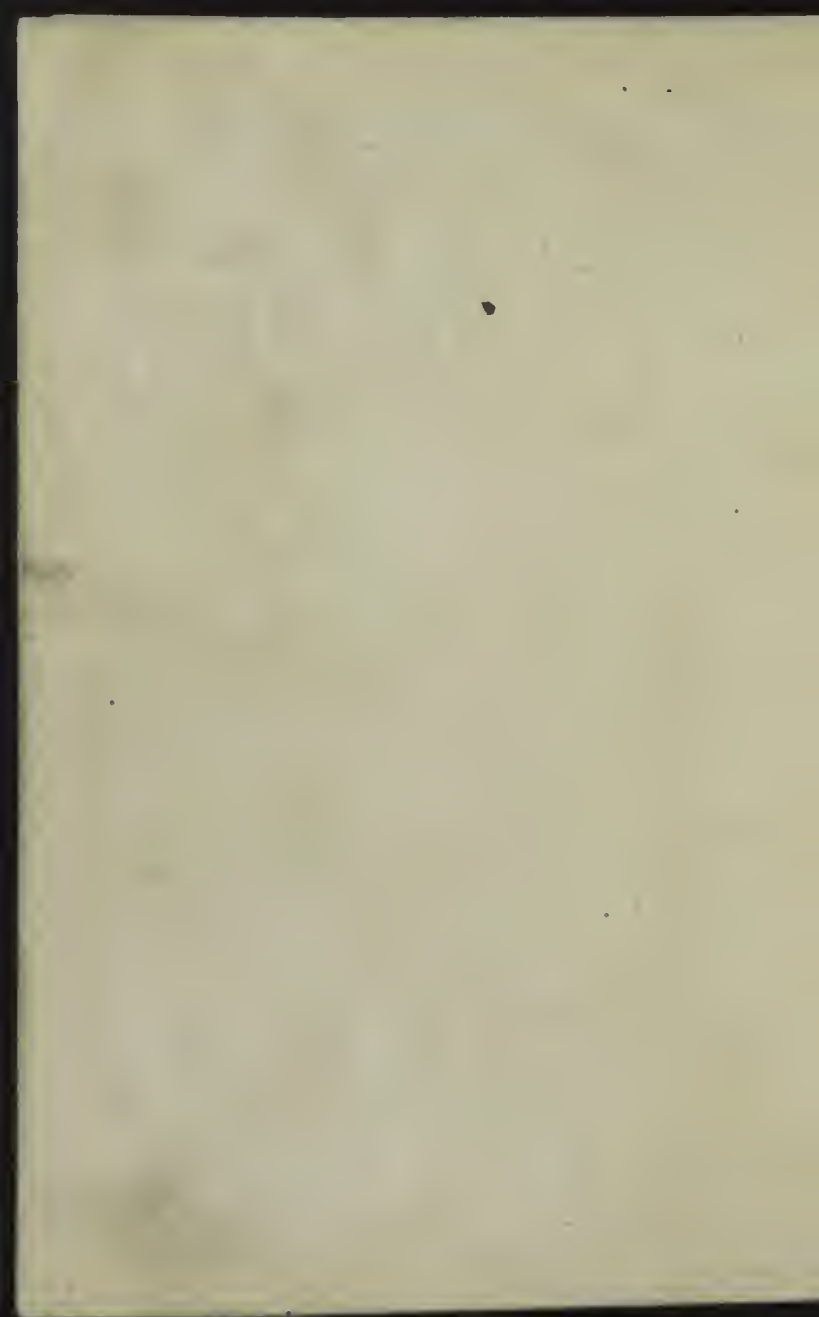


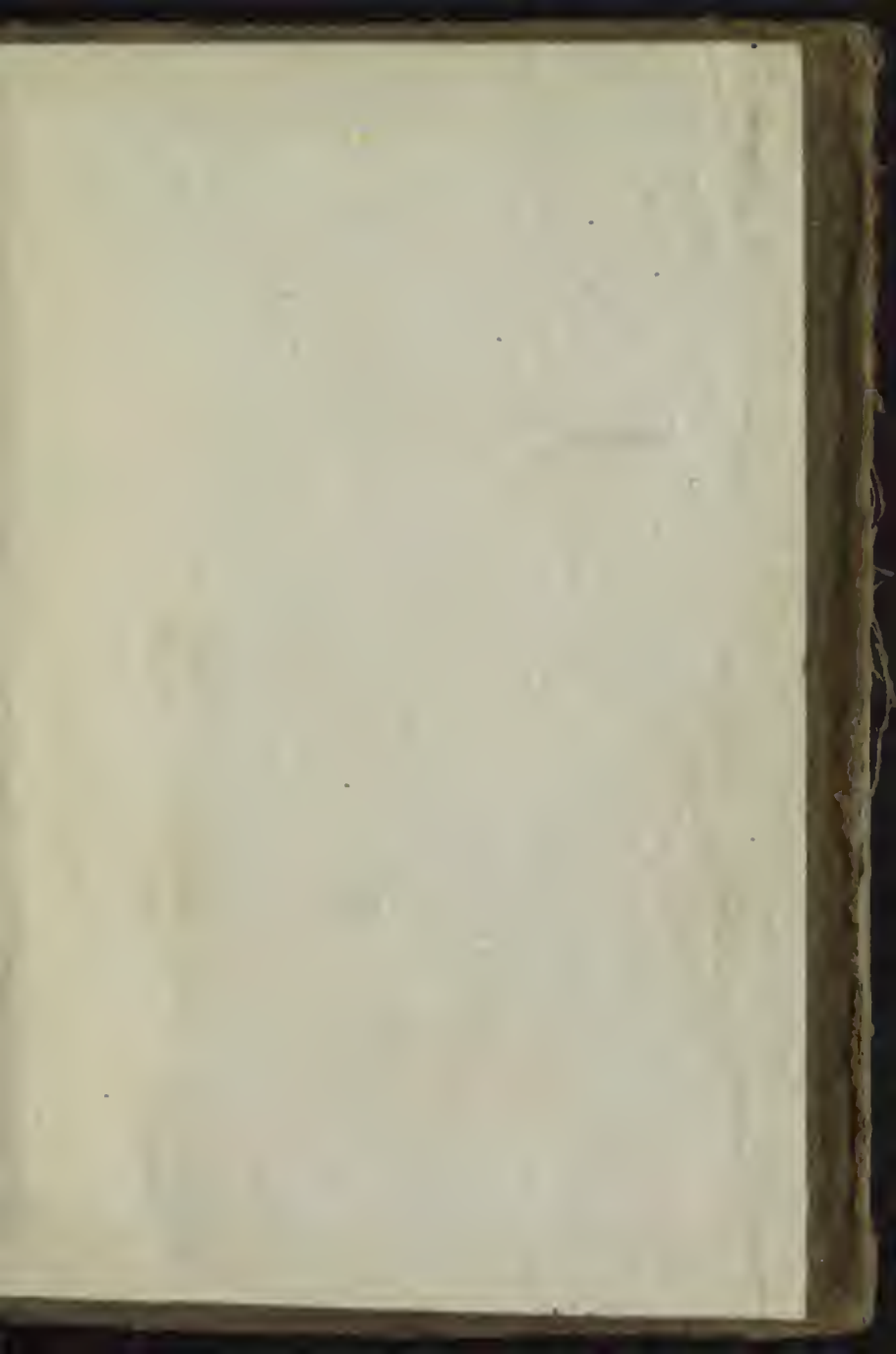












Biblioteka Raczyńskich

**JIK2902**



JIK2902